ŚWIATOWID

WSCHODZĄCA GWIAZDA SPORTOWYCH FILMÓW POLSKICH.



Janina Sawczak-Fisherowa (na zdjęciu), znana nasza sportsmanka, która niedawno jeszcze odnosiła pierwszorzędne sukcesy w narciarstwie, zabłysła obecnie na firmamencie gwiazd filmowych — najpierw w obrazach głośnego reżysera dr. Fancka (realizatora „Monte Santo“, „Białego Piekła“ i wielu innych) — ostatnio zaś w filmie produkcji polskiej, nakręcanym w Tatrach.

Fot. Schabenbeck — Zakopane.

ZE WSPOMNIEŃ O POLSKIM PAPIEŻU.

Ojciec św. na statku-czołówce sanitarnej w czasie wojny polsko-bolszewickiej.

Z okazji 10-lecia rządów apostolskich papieża Piusa XI redakcja „Światowida“ zdobyła cenną fotografję z czasu pobytu Ojca św. w Polsce.

Fotografja sięga przełomu sierpnia i września 1920 r., gdy nawała bolszewicka została już była odparta z pod Warszawy, lecz gdy zerwane jeszcze linje kolejowe, a zwłaszcza wysadzone mosty między Warszawą a frontem uniemożliwiały komunikowanie się tyłów z linją bojową drogami żelaznemi.

Uruchomiono wówczas na Wiśle szereg okrętów, które częściowo bodaj uzupełniały katastrofalny brak połączeń z frontem.

Jeden z takich statków p. n. „Łokietek“, pełniący służbę szpitala ruchomego widzimy na fotografji u przystani wioślarskiej w Warszawie, w chwili, gdy wrócił z frontu z rannymi. Tutaj, przed rozwiezieniem rannych po szpitalach warszawskich odbywało się ich dożywianie, zorganizowane przez „Zrzeszenie Banków Polskich“.

Statek przewoził 700—800 rannych za każdym przejazdem. Dowódcą jego był lekarz, mjr. dr. Jacobson, zasłużony w bojach powstania wielkopolskiego, a zwłaszcza w oswobodzeniu Gniezna. Opiekę nad rannymi na statku sprawowało warszawskie Koło Polek, z którego ramienia czynne były panie Wł. Januszewska-Łozińska, A. Rubczyńska i Elżbieta Siekierska, jakoteż alumni Seminarjum Duchownego z Płocka.

Statek ten, gdy właśnie był powrócił z rannymi z Modlina zwiedził Ojciec św., ówczesny Nuncjusz Apostolski w Polsce, Msgr. Ratti widoczny (x) na rycinie.

Fotografja jest cennym i wzruszającym dokumentem tej pełnej poświęcenia i odwagi osobistej działalności dzisiejszego Papieża, jaką ten wysoki ówczesny Dostojnik Kościoła rozwijał na terenie Polski w tragicznych chwilach jej dziejów.

Ze zbiorów p. Wł. Januszewskiej-Łozińskiej.

TURNIEJ PIŁKARSKI w ZAKOPANEM.

ubiegłą sobotę i niedzielę odbył się na zakopiańskim stadjonie turniej piłkarski, w którym wzięły udział dwie drużyny miejscowe: „Wisły“ zakopjańskiej i „Strzelca“ oraz dwa czołowe zespoły krakowskie: „Cracovia“ i „Wisła“.

W pierwszym dniu, przy przepięknej pogodzie słonecznej zmierzyła się „Cracovia“ z zakopiańską „Wisłą“, uzyskując wynik 7:1, który tembardziej zasługuje na podkreślenie, ileże drużyna krakowska wystąpiła w składzie, osłabionym brakiem Otfinowskiego, Mysiaka i Chruścińskiego. Już w tym meczu zaznaczył się powrót do formy Ptaka, swego czasu bezkonkurencyjnego pomocnika „Cracovii“, który w drugim dniu, w spotkaniu z wicemistrzem Polski był jednym z najlepszych graczy na boisku. Drugie spotkanie, rozegrane tego dnia pomiędzy „Strzelcem“ i krakowską „Wisłą“, zakończyło się analogicznym wynikiem 7:1. W barwach „Wisły“ wyróżnili się Artur, Czulak, Lubowiecki i Łyko, strzelcy zwycięskich bramek. Honorowy goal dla „Strzelca“ padł ze strzału Malika.

W niedzielę odbyły się dwa spotkania, a to pierwsze, które rozegrała zakopiańska „Wisła“ ze „Strzelcem“, zakończone wynikiem remisowym 1:1, przy grze niemal równorzędnej, oraz drugie, słynne „derby“ krakowskie, przeniesione z pod Wawelu, na śnieżną płaszczyznę stadjonu zimowego pod Giewontem. W tym meczu „Cracovia“ grała w zmienionym składzie, zasilonym Otfinowskim w bramce, Mysiakiem i Chruścińskim na pomocy, oraz Zastawniakiem w obronie. Wykazała też więcej zgrania od swego przeciwnika, lepsze opanowanie terenu i żywiołowy ciąg na bramkę. Toteż wynik 4:2 na jej korzyść uznać należy za w pełni zasłużony. Drużyna „Wisły“, osłabiona brakiem Balcera, Kisielińskiego i Reymana, potrafiła do zmiany wytrzymać tempo, nadane jej przez przeciwnika; co więcej, w tej części gry przeprowadziła szereg groźnych ataków. Dopiero druga połowa przyniosła znaczne osłabienie, szczególnie w linji pomocy i u bramkarza (Koźmin).



Fragment z meczu, rozegranego na zakopiańskim stadjonie przez drużynę ligową „Cracovii“ z zakopiańską „Wisłą“, zakończonym wynikiem 7 : 1 na korzyść „Cracovii“.



Obok: Drużyna K. S. „Cracovii“ w składzie (od lewej) Kępiński, Zieliński, Malczyk St., Zachemski, Kubiński, Marjan, Stiasny, Seichter i Ptak — klęczą: bramkarz Malczyk Ant. i Filipkiewicz.

Fot. „Sabała“ — Zakopane.

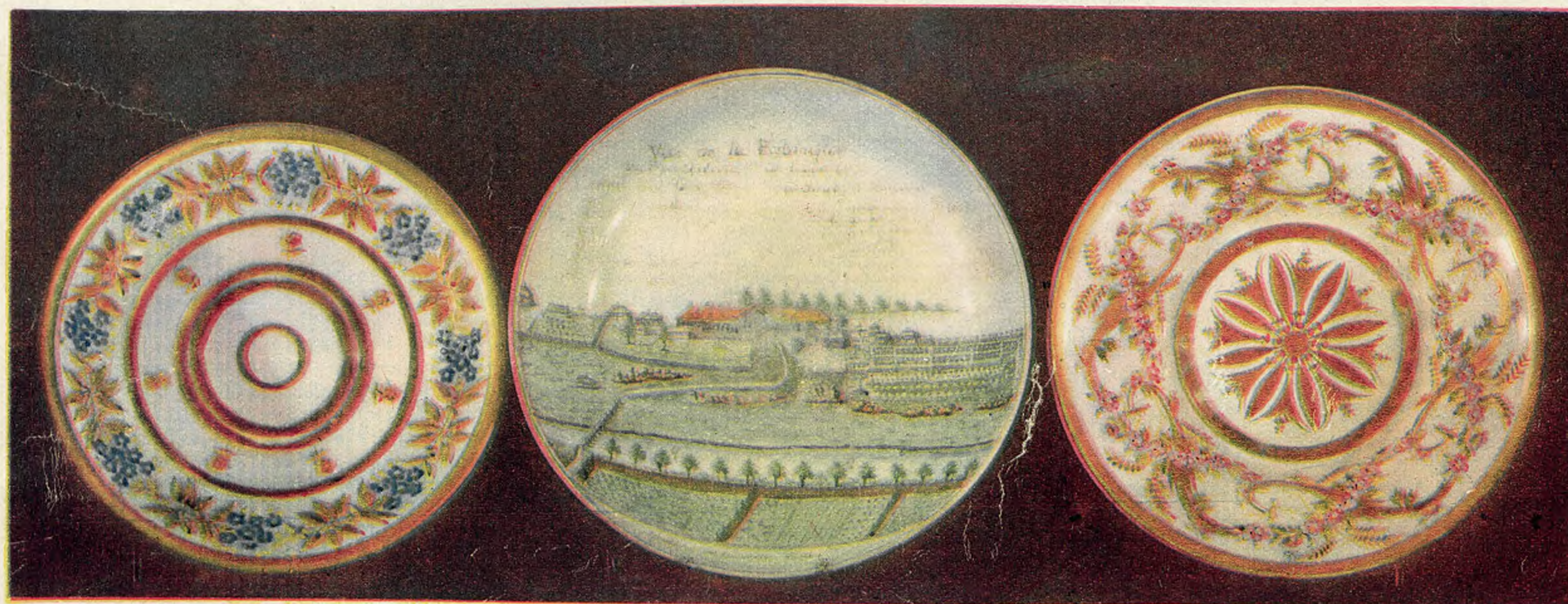
W 250 ROCZNICĘ URODZIN BÖTTGERA TWÓRCY SASKIEJ PORCELANY.

KILKA SŁÓW O STAREJ, POLSKIEJ PORCELANIE.

Naczynia z nieznanej białej masy, gęstej a przejrzystej, lśniącej pięknemi refleksami, przywożone z dalekich Chin głównie przez ładowne okręty kupców holenderskich, budziły już od XVI w. podziw w Europie. — Dwa wieki żmudnych prób i doświadczeń, otaczanych zwykłe tajemnicą i strzeżonych zazdrośnie, przyniosły wreszcie w r. 1709 oczekiwany rezultat: wynalazek porcelany kaolinowej przez Jana Fryderyka Böttgera.

W ubiegłym miesiącu minęła właśnie 250 rocznica urodzin Böttgera (urodzony w r. 1682). Życie jego było pełne przygód. Zrazu skromny uczeń aptekarski, później rzekomy właściciel tajemnicy robienia złota, staje się celem zakusów królów i kurfürstów. Szczuty jak zwierzę, uciekając z jednej prowincji do drugiej, z mieczem prawie nad głową, wynajduje w Dreźnie dla Augusta Mocnego nie złoto wprawdzie, ale porcelanę. Tradycja mówi, że temu wynalazkowi podobnie





Od lewej: Filiżanka ze spodkiem z fabryki w Korcu, z lat około 1814—1816. Waza ze spodkiem z fabryki w Baranówce, z lat po roku 1825. — Filiżanka ze spodkiem z fabryki w Korcu, z lat około 1817—1831.

Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie.

Obok:

Od prawej: Spodek z fabryki w Baranówce, po r. 1825. — Spodek z fabryki w Korcu, z widokiem tejże fabryki (unikat wartości 2.000 zł.). — Spodek z fabryki w Korcu.

Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie.

jak wielu innym pomógł przypadek. Próbka mączki białej, używanej jako puder na włosy, miała się okazać kaolinem. Następstwem wynalazku Böttgera było powstanie wielkiej fabryki w Miśni, której wyroby począwszy od drugiego dziesiątka XVIII w. aż do naszych czasów stały się znane w całej Europie. — Nieco później, bo w r. 1720 została założona fabryka wiedeńska — w połowie w. XVIII powstało nowe ognisko wyrobu porcelany w Berlinie.

W Polsce początek fabrykacji porcelany przypada dopiero pod koniec XVIII w. Najpierw powstała, zyskując sobie powszechną w kraju sławę fabryka w Korcu na Wołyniu. Założona przez księcia stolnika Józefa Czartoryskiego, wytwarza wyroby z porcelany od r. 1790 do r. 1832. — Na owe czasy było korzeckie przedsięwzięcie wielkiem i dobrze zorganizowanem. Jak podaje Gloger, liczba poszczególnych warsztatów w Korcu dochodziła do 86, a robotników siedzących przy toczydle do 1.000. — Produkcja fabryki wynosiła w okresie największego rozwoju do 20.000 sztuk miesięcznie. Chociaż kierownikami fabryki korzeckiej byli cudzoziemcy, bracia Mezerowie, a później Perault, to jednak zatrudnionymi przy wyrobie porcelany byli Polacy. Nawet siły malarskie były polskie. Wśród tych ostatnich wyróżnia się nazwisko miniaturzysty Sobińskiego.

Fabryka korzecka figur nie produkowała. Natomiast w wyrobie naczyń uderza wielka różnorodność. — Obok małych filiżanek, wielkie wazy, obok szerokich koszyków i salaterek kształtne mleczniki i wysmukłe wazony. — Szlachetność i elegancję form podnoszą tu jeszcze malowidła ręcznie wykonane. Przedstawienia kwiatów, wici roślinnych, owoców, ptaków, ba nawet krajobrazy zdobią wyroby koreckie. Kolory tych malowideł w I-szym okresie rozwoju fabryki są jakby stłumione, tak silnym był jeszcze powiew rokoka. Barwy natomiast na „korcach" z lat około 1815 grają silną gamą, wzmocnioną jeszcze przez bogate złocenia.

Na wyrobach porcelany korzeckiej znać silny wpływ manufaktur miśnieńskiej, wiedeńskiej i berlińskiej. Nie napróżno w jednej z sal fabryki w Korcu mieścił się mały zbiorek okazów z tych fabryk. Było to jednak rzeczą naturalną, gdyż wszystkie manufaktury zwykły zapożyczać się u siebie. Z drugiej jednak strony nie brak w porcelanie korzeckiej elementów rodzimych, widocznych zwłaszcza w odrębnej niejednokrotnie stylizacji ornamentów roślinnych.

Porcelana korzecka ze względu na swą wartość artystyczną jest wysoko ceniona. Piękne jej okazy są coraz rzadsze, zwłaszcza, że wiele z nich uległo zniszczeniu w okresie wojennym.

W Krakowie cenne okazy posiadają zwłaszcza Muzeum Narodowe, Muzeum XX. Czartoryskich i zbiór wybitnego znawcy starej porcelany dyr. Ryszarda. W kolekcji Muzeum Narodowego wśród ciekawych przykładów zwraca uwagę talerz z widokiem samej fabryki w Korcu. Dzięki objaśnieniom na nim umieszczonem można odtworzyć rozplanowanie fabryki. I tak w prawem jej skrzydle mieściło się laboratorjum, w lewym pracownie, malarnie i magazyny.

Drugą znaną manufakturą w Polsce była porcelana wyrabiana w Baranówce na Wołyniu. Rozpoczyna ona swą produkcję porcelany w pierwszych latach XVIII w. Założona przez jednego z byłych kierowników fabryki koreckiej, Mezera, pozostawała pod silnym wpływem wyrobów Korca, ustępując im jednak pod wieloma względami. Charakterystycznem produktem tej fabryki są naczynie aptekarskie o pięknych formach i dekorze. — Z innych manufaktur wspomnieć jeszcze należy fabrykę w Tomaszowie lubelskim, założoną w majątku Zamoyskich, a egzystującą do r. 1827.

K. Buczkowski.

MOJE PRZYGODY W LIBJI.



Na progu pustyni Homada el Homra w Trypolitanji.

Kilka dni w oazie.

„Jesteście Panowie Niemcami?“! Oglądamy się. Przed nami stoi młody, przystojny Arab, z błyskiem radości w czarnych oczach. Mówił po niemiecku. Nietylko on. lecz nawet Niemcy brali nas często za swoich rodaków. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby odgadnięto naszą prawdziwą narodowość, uważając nas często za Czechów, Duńczyków, Niemców, a nawet Anglików.

Dowiedzieliśmy się od naszego Araba, że mieszka w oazie Zavia (Libja), a ponieważ zamierzaliśmy ją odwiedzić, postanowiliśmy przeto wyzyskać to przypadkowe spotkanie.

W oznaczonym dniu wyruszyliśmy przed świtem, aby uniknąć wielkich upałów, dochodzących w cieniu do 50 stopni Celsjusza i wyżej.

Asfaltowa droga prowadziła przez piaszczyste obszary, zarośnięte gdzieniegdzie rzadkiemi gaikami oliwnemi, których drzewa sadzone są w odstępach 5-metrowych. Z okolicznych oaz kroczyły obładowane arbuzami, melonami i daktylami, flegmatyczne wielbłądy, za którymi truchcikiem podążały osiołki, ze swemi dziecinnemi stosunkowo paczkami. Wszystko ciągnęło na targ do Tripoli, stolicy Libji.

Około 7-mej zaczęły się pokazywać pierwsze palmy daktylowe, z gałęźmi łamiącemi się od ciężaru złotych owoców. Niezadługo przejechaliśmy przez linję kolejową i ujrzeli pierwsze budynki. Na drodze oczekiwał nas już nasz znajomy w białym, lnianym burnusie, pokrywającym całe jego dolne ubranie. Podniecony poprowadził nas do siebie po uprzedniem umieszczeniu motocykla w garażu.

Na końcu dzielnicy europejskiej, a na początku wioski arabskiej, stał w otoczeniu egzotycznej roślinności jego dom, biały, piękny, letni, w stylu orjentalnym.

Zastaliśmy rodzinę w gorączkowem oczekiwaniu. Mówiąc o rodzinie, mam oczywista na myśli tylko mężczyzn, gdyż przez trzy dni pobytu u nich nie widzieliśmy ani jednej kobiety, chociaż słyszeliśmy z opowiadań, że liczbą swą przewyższają płeć brzydką.

Po ceremonjalnych przywitaniach, polegających na uścisku dłoni, ucałowaniu palców własnej ręki i wymówieniu pozdrowień w języku arabskim, zasiedliśmy do popularnego anyżu. Do szklanki napełnionej lodem, wlewają trochę przeźroczystej „anisette“ i dolewają potem wodę, która się zamienia na mleczny płyn.

Po wypróżnieniu naszych szklanek, zasiedliśmy z Ibrahimem (imię naszego przyjaciela) do omówienia z nim planu naszego pobytu. Postanowiliśmy zrobić jednodniowy wyjazd na wielbłądach do sąsiedniej oazy i odwiedzić słynny w Zavi meczet i grób świętego.

Ibrahim radził, byśmy się przebrali za Arabów algerjańskich, których mowa i obyczaje mocno się różnią od tutejszych, dzięki czemu może nam się uda zmieszać z tłumem i dostać do wnętrza. Zgodziliśmy się na to, ale dobre chęci nie pomogły...

Z trudnością przyszło nauczenie się słów grzeczności na tyle, żeby wymowa ich nie budziła podejrzenia. Niełatwiej było z burnusem. Z parumetrowej płachty lnianej próbowaliśmy po kilkukrotnem, kunsztownem owinięciu się, stworzyć wygodny, niekrępujący strój arabski. Gdyśmy już to osiągnęli, okazało się, że burnusy niedobrze leżą na nas, co chwila odwijają się, spadają. Ibrahim rozbawiony przechodził od jednego do drugiego, nakładał na nowo, poprawiał, nauczał.

Po dłuższym dopiero czasie oswoiliśmy się trochę, zadawalniając po części naszego nauczyciela.

Wyszliśmy na ulicę. Z wychylonem z pod płaszcza prawem ramieniem, pokazującem rękaw pstrego kaftanika, z obfitym trenem burnusa na lewej ręce, kroczyliśmy powoli, naśladując flegmatyczny, a zarazem majestatyczny chód naszego towarzysza.

Oaza, widziana w rzeczywistości, przedstawiała się mniej romantycznie, niż na obrazach lub filmach. Zavia, ze swojemi 17.000 palm daktylowych, 35.000 drzew oliwkowych, oraz dość dużą, choć prymitywną wsią arabską, daleko odbiega o dszablonu oazy, przedstawiającego na niezmierzonym obszarze pustyni samotną studnię, w otoczeniu kilku palm, w których bronzowi Arabowie ścinają daktyle i koło których stoją wiotkie Arabki ze dzbanami na głowie. Lecz Zavia ma swoistą piękność, wyjąwszy kwartał europejski, składający się z poczty, magistratu, koszar i kilku restauracyjek — wszystko minjaturowe, prowincjonalne, nieładne. Zato dzielnica arabska przedstawia się zupełnie inaczej.

Nasza przechadzka miała na celu przyzwyczaić wzrok tubylców do obcych „braci“, przybyszów z dalekich stron, z Algerji. Po pewnym czasie usiedliśmy na sposób arabski na trotuarze głównej ulicy, by zapalić „nargile“ — fajki z destylacją wodną. Ibrahim usadowił się między nami, zdjął swoje safjanowe, zdobione sandały i rozpoczął rozmowę, często gestykulując. Naśladowaliśmy go, pociągając jednocześnie z długich kiszek naszych fajek. Lecz mimo włożonych starań, Arabowie nie dali się oszukać. Przechodząc, witali nas przez włoskie



Nasz współpracownik (pierwszy od prawej), ukrywający się pod pseudonimem S. Elkades w oazie Zavi w Libji.

„bon giuorno“ (dzień dobry), dając do zrozumienia, że poznają w nas Europejczyków. Widzieliśmy się zmuszeni zrezygnować z naszego planu i obmyślić inny. — Nasz przyjaciel nie bardzo się tem przejął, gdyż miał już świeży w zapasie.

Gdyśmy nazajutrz wyszli na dwór (mieliśmy pokoik w domu Ibrahima), leżały już dwa wielbłądy w oczekiwaniu. Trzeciego sprowadził nasz gospodarz.

Trochę czasu zabrało siodłanie zwierząt. Nakładano na nie długie, zajmujące prawie cały grzbiet, siodła, z odpowiednim otworem na garb. Potem trzeba je było otrząsnąć z obojętnej zadumy, postawić na nogi, zawiązać pod brzuchem paski i wkońcu je położyć.

Słońce już mocno grzało, gdyśmy dosiadali wielbłądów — Ibrahim na sposób utrecki, ze skrzyżowanemi nogami, my — jak na konie. O losie! W jak wielkim rozkroku trzeba było siedzieć!

Pierwszy podniósł się dromader naszego przewodnika, stając wprzód na kolana, potem na stopy. Nasze zwierzęta widocznie nieczęsto miały takich pasażrów jak my, gdyż pomimo wykrzyków, któreśmy wydawali, idąc za przykładem naszego arabskiego przyjaciela, one długo i uparcie leżały, a potem się gwałtownie, bez przejścia poderwały. Jedynie dzięki naszemu sposobowi siedzenia, pozwalającemu trzymać się kolanami, nie spadliśmy. Jeszcze długo zwierzęta wyrażały swoje niezadowolenie, wydając głuche, bulgocące dźwięki, imitujące zupełnie płukanie gardła.

Droga prowadziła przez wioskę arabską.

Szerokie stopy dromaderów grzęzły w obfitym, rozżarzonym piasku. Co chwila musieliśmy odrywać nasze zwierzęta od żywopłotów, rozpościerających się po obu stronach szlaku. Ku naszemu wielkiemu podziwowi, pożerały liście kaktusów, które są kilkucentymetrowej grubości i naszpikowane długiemi na palec, ostremi, a zarazem twardemi kolcami.

Naogół osiedla arabskie nie posiadają drzew. Tu palmy i oliwki są ich chlebem i dlatego dość obficie sadzone. Wszystko razem — te pierwotne chałupki, egzotyczne drzewa, te ociężale uwijające się między niemi istoty — dało piękny, prymitywny, a zarazem charakterystyczny obraz afrykański.

W końcu wsi zaczęrpnęliśmy wody do naszych naczyń i wyszli na pełne „morze“. Gorąco zaczęło dopiekać. Monotonnością swą jazda na wielbłądach podobna jest do morskiej. I tu się ma wyłącznie dwa żywioły: niebo i piasek. I tu wiatr tworzy fale, większe i mniejsze, ale za to stalsze. Lecz trzęsienie jest tu gorsze, wcale niezależne od spokoju powierzchni. Nieprzyzwyczajone ciała nasze wykonywały różne ruchy i pokłony, jakby modląc się do wszystkich stron świata.

Po dwóch godzinach podróży zrobiliśmy postój. — Zesiedliśmy, by dać wypocząć naszym roztrzęsionym członkom. Już za chwilę musieliśmy z powrotem zająć miejsca na siodłach, gdyż rozżarzony piasek palił nam stopy przez dość grube zelówki trzewików. A zwierzęta leżały wyciągnięte na brzuchach, nic sobie nie robiąc z żaru.

Napiwszy się obficie wody, ruszyliśmy dalej. Droga była już niedaleka. Po niespełna godzinie osiągnęliśmy oazę! Znacznie mniejsza od Zavi, widokiem swym jednak zupełnie do niej podobna.

Obiad zjedliśmy w arabskiej restauracji. Dania były tak papryczne i pieprzone, że łzy nam do oczu napływały przy spożywaniu ich. Chcieliśmy wypocząć po jedzeniu, ale natrętne muchy, które w niezmiernej obfitości znajdują się w pomieszczeniach arabskich, wypędziły nas na dwór.

Około 4-tej po południu wyruszyliśmy z powrotem. Dromadery przyzwyczaiły się już trochę do nas, my do nich. Ufając im teraz, zmienialiśmy w jeździe pozycję naszych ciał, przybywając do Zavi bez zrobienia postoju po drodze.

Nazajutrz byliśmy jeszcze pod wpływem jazdy wielbłądziej. Zbyt szeroki rozkrok podczas siedzenia na nich dawał się jeszcze we znaki. Ale dzisiaj nie powtarzaliśmy już wycieczki. Poszliśmy do meczetu, oczywista w stroju europejskim.

Przy wejściu Ibrahim długo i żywo rozmawiał z jakimś starym Arabem, skutkiem czego zostaliśmy wpuszczeni. — Podziałało to, że nie jesteśmy Włochami Uczucie narodowe jest u nich, uciemiężonych, większe widocznie niż religijne. Zakaz wstępu Europejczykom do meczetu tyczy się szczególnie faszystów. Ibrahim powiedział, że jesteśmy członkami odległego narodu polskiego, przyjaznego Arabom.

Poszliśmy przez wąski, niski i ciemny korytarz. Przed końcem po prawej stronie prowadziły drzwi do sali modlitewnej. Staliśmy przy wejściu, nie chcąc się kłopotać przebieraniem trzewików. Zresztą niewarto było zachodu. Nic ciekawego, nic, na czemby się oczy zatrzymały. W przeciwieństwie do świątyń chrześcijańskich, mahometańskie są zupełnie skromne. Ogromne, puste pomieszczenie, z plecionemi matami na podłodze, daje wrażenie czegoś niedokończonego. — Żadnej rzeźby, żadnego obrazu. Ożywiają trochę tę próżnię gęsto rozstawione kolumny marmurowe, podpierające arkady nienormalnego sufitu, oraz zwieszające ogromne pająki na mnóstwo świec.

Udaliśmy się wyżej. Krętemi schodami wprowadzono nas na terasę, otoczoną czubkami palm. Zebrała się tu grupa pobożniejszych Arabów, którzy codziennie przychodzą na modlitwę. Po dowiedzeniu się od Ibrahima, kim jesteśmy, otoczyli nas, ściskali za ręce, stawiali różne pytania za pośrednictwem naszego przewodnika, zapraszali do oglądania całego meczetu, częstowali daktylami, pokazując nam naogół żywą przychylność.

Jeden człowiek trzyma się na uboczu, nie przyszedł do nas. Jego autorytet nie pozwalał na to. — Siwy, poważny, majestatyczny starzec, którego obecnością słynie meczet. Jest lekarzem, poetą i wielkim znawcą koranu. Sława jego sięga do wielu oaz, a nawet dochodzi do Tripoli. Wszyscy odnoszą się do niego z nadzwyczajnym szacunkiem i poddaniem. Należy do tych, którzy po śmierci stają się świętymi swego narodu.

Po wysłuchaniu kilku wyjaśnień wyciągnął do nas rękę, przyłożył ją potem do swoich warg i wymówił kilka błogosławieństw. Następnie wpisał do naszego albumu dwa zdania w języku arabskim. Odnosiły się do naszej podróży, i po przetłumaczeniu brzmią: „Widzenie świata jest przyjemnością, poznanie ludzi — skarbem nieocenionym“. Wkońcu pożegnał nas i błogosławił na drogę.

S. Elkades.

GOŚĆ Z AUSTRALJI
W WARSZAWSKIM OGRODZIE ZOOLOGICZNYM.

W najmniejszej części świata, Australji, krąży wśród przyrodników powiedzonko, że dziwny to kraj, gdzie drzewa cienia nie rzucają, gdzie ptaki nie śpiewają, gdzie zwierzęta ssące znoszą jaja. I rzeczywiście, darmoby ktoś szukał schronienia pod eukalyptusem przed palącemi promieniami słońca; prawie że bezlistne drzewo cienia nie daje. Napróżno nastawiałby ktoś uszu, by uchwycić wdzięczną melodję ptaków, spływającą z lazurowego nieba, czy z gęstwy krzaków. Nie znaczy to, że ptaki australskie milczą, nie, wprost przeciwnie — wydają głosy, przypominający skrzypienie drzwi, ryk bydła, wrzawę jarmarczną. Z reguły wrzaskliwość i niesamowitość głosu ptaka zostaje w stosunku prostym do piękności jego piór.

Dziobak i kolczatka, oba zwierzęta ssące, znoszą jaja jak kury czy jaszczurki. Kolczatka chowa zniesione jajo do kieszeni w skórze brzucha i obnosi je ze sobą aż do wylęgnięcia się młodego. Większość ssaków Australji przechowuje swe bardzo niedołężne młode w podobnych torbach skórnych; stąd też pochodzi ich nazwa naukowa — torbacze. W dzisiejszych czasach zamieszkują torbacze Australję z otaczającymi ją wyspami i Amerykę od samego południa do Filadelfji w Stanach Zjednoczonych.

Przez długi czas było zagadką, skąd biorą się te zwierzęta w dwóch tak odległych od siebie częściach globu. Przypuszczano przez jakiś czas, że Australję i Amerykę południową łączył ze sobą w czasach geologicznie starych pomost lądowy, biegnący przez Ocean Spokojny i że wtedy mieszkały tam i przechodziły z zachodu na wschód torbacze. Później miał ten pomost zapaść się pod morze, a najwyższe jego wyniosłości miały utrzymać się do naszych czasów jako łańcuch wysp Pacyfiku.

Przypuszczenie to upadło z chwilą, kiedy zaczęto odnajdywać w całej Europie i Azji szczątki kopalne torbaczy, pod postacią dobrze zachowanych kości. Pokazało się więc, że zwierzęta te podczas ubiegłych epok geologicznych zamieszkiwały całą kulę ziemską i że były w tym czasie prawie że wyłącznie ssakami. Wnet jednak minął okres ich świetności. Powstały innego gatunku ssaki, lepiej wyposażone do walki z konkurentami i zaczęły wypierać bezbronnych staruszków-torbaczy.

Fala młodych najeźdźców szła we wszystkich kierunkach, niszczyła niedołężne torbacze i zatrzymała się dopiero u brzegów morskich. Cieśnin przejść nie zdołała. A w tym czasie powstały dwie ważne cieśniny, jedna między Indochinami a Australją, a druga między Ameryką południową i północną. Jakieś przesunięcia skorupy ziemskiej pozwoliły morzu zalać kawałki lądu i przerwać łączność między niemi.

Fakt ten ocalił torbacze od zagłady. — Wprawdzie w Ameryce południowej, po ponownem połączeniu obu lądów, uległy one zdziesiątkowaniu przez wdzierające się drapieżce północne, lecz w Australji, która zawsze była wyspą, rozwinęły się bujnie i wszechstronnie. — Jedne zamieszkały korony drzew, inne poszły w obszerne stepy, niektóre przystosowały się do życia podziemnego, jak nasze krety.

Obok torbaczy żyją w Australji z wyższych ssaków nietoperze, drobne szczury i pies dingo. Nietoperze mogły się tu dostać z północy na własnych skrzydłach, szczury mogły przenieść prądy morskie na kłodach drzew. Natomiast skąd się wziął pies dingo, trudno odpowiedzieć. Czy przybył samorzutnie jakiemś nieznanem dziś połączeniem lądowem z Azji, czy dostał się z ludźmi jako zwierzę naogół udomowione i tu na nowo zdziczał — jest kwestją otwartą. W każdym razie kości jego znajdują się już w złożach pleiscoteńskich, obok olbrzymich ciężkich torbaczy, które zdołał w krótkim czasie wytępić. Posiadając wspaniałe zęby i potężne mięśnie, łącząc chytrość lisa z natręctwem szakala, czuł się dingo w Australji doskonale. Żadne zwierzę nie mogło mu ujść w pościgu, żadne nie mogło mu sprostać siłą czy podstępnością. Został tu królem niepodzielnym, bardziej niż lew w stepach Afryki i tygrys w dżunglach Indyj. Mnożył się szybko i podbijał coraz to nowe okolice. Prowadził życie rodzinne. Parka obejmowała jakiś obszar na własność łowiecką i broniła go przed intruzami. Polowała we dwójkę lub z kilkorgiem dzieci.

I dobrze im się działo, aż do pojawienia się białego człowieka. Właściwie pierwsi biali pionierzy nie bardzo go niepokoili, bo osiedlali się tylko na wybrzeżach morskich. Dopiero koloniści-pasterze i rolnicy dali mu się we znaki. Właściwie sam dingo rozpoczął wojnę. Nie odczuwał różnicy między owcami hodowanemi a kangurami. Nawet owce smakowały mu bardziej, przytem tyle ich było na łąkach i tak łatwo dawały się ubić. Koloniści sprowadzili do obrony stad psy owczarskie. Dingo i psy stanęły ze sobą na wojennej stopie, napadały na siebie i walczyły ze sobą. Ten stan wojenny nie zawsze zapewne był tak ściśle przestrzegany, bo w krótkim czasie pojawiły się po obu stronach frontu osobniki nijakie, ni to psy, ni dingo.

Wobec tego koloniści sami, nie ufając kondotjerom, zabrali się do tępienia dingów. Kule, pułapki i trucizna przetrzebiły pogłowie zwierząt, tak, że dziś w wielu okolicach dingo znany jest z opowiadań tylko, a w innych pędzi żywot bardzo mizerny i niepewny. Zdaje się, że ten, o tak zagadkowem pochodzeniu zwierz zniknie w niedługim czasie z listy czworonogich obywateli Australji.

Po zwierzyńcach hoduje się go dość często, samotnie lub parami. Oswaja się łatwo i uczy szczekać jak pies, jednak rzadko słyszy się o oszczenieniu. Przed laty wychowała jedna parka pięć młodych w zwierzyńcu we Wrocławiu. Niedawno urodziły się młode w warszawskim ogrodzie zoologicznym, co trzeba uważać za niebywały sukces tej młodej instytucji. Należy żywić nadzieję, że zarząd zdoła zapewnić tym szczeniętom należytą opiekę i że wychowa je na tęgie okazy tego dziś ginącego gatunku zwierząt.

Z. G.

Zarząd warszawskiego Zoo jest bardzo dumny i szczęśliwy z przyjścia w tych dniach na świat szczeniąt australijskich dzikich psów „Dingo". — Zdjęcie przedstawia sukę z dozorcą i szczenięta.

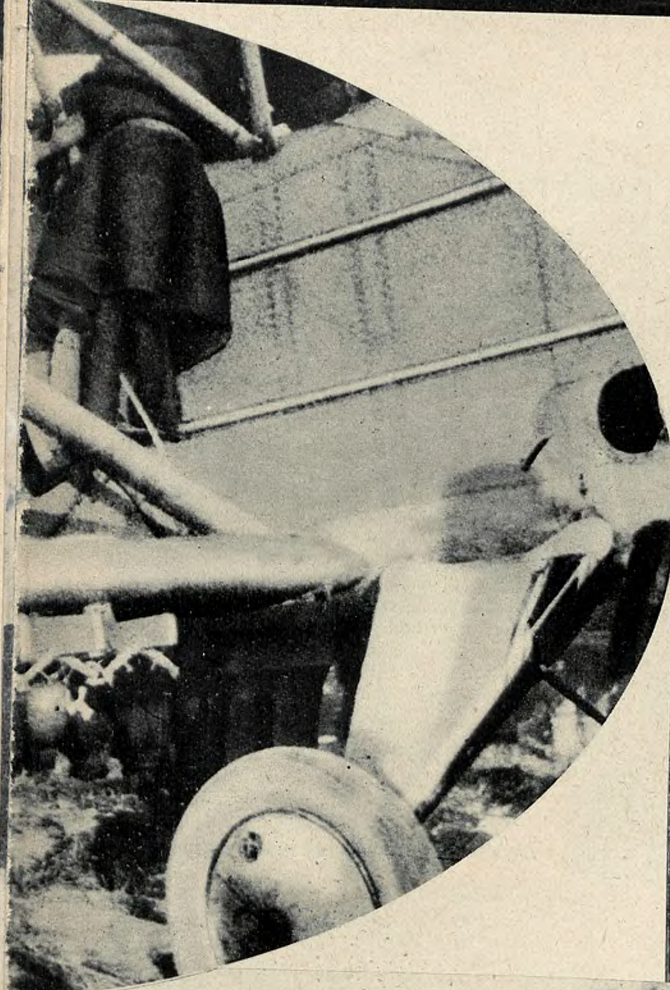




POD GROZĄ ŚMIERCI.









W owalu: Japoński samolot bombowy, który w tych dniach został w okolicy Charbina zmuszony do lądowania. Załogę jego wymordowali Chińczycy. Pod skrzydłem samolotu widać cztery bomby lotnicze.

Sport General — London.

Na lewo: Ze zgrozą patrzy młoda dziewczyna chińska z okien swojego domu na krwawą łunę nad Szanghajem.

Na lewo: Uliczny mowca wzywający w Szanghaju Chińczyków do wstąpienia do chińskiej armji ochotniczej. Trumna, obok niego stojąca, ma symbolizować wolność narodu, którą najeźdźca japoński chce pogrzebać.

Presse-Photo.

Poniżej: Wojska chińskie broniące się bohatersko w Chapei pod Szanghajem. Pomimo ognia huraganowego, piechota trwa na swoich stanowiskach.

Keystone — London.



(Szanghaj w ogniu huraganowym).

Szanghaj, w lutym.

Proklamacja niezawisłego państwa Mandżurji stała się faktem dokonanym. Generałowie chińscy, zwolennicy Japonji: Maa, Czan-Si, Czan-Czin-Suj i Si-Sia na konferencji w Mukdenie, zaznaczyli w odezwie do ludności, że rząd mandżurski zrywa stosunki z Chinami i będzie dążył do zaprowadzenia ładu w dotychczasowym chaosie.

Proklamacja nie wspomina w żadnym swym punkcie o Japonji, a jednak powszechnie jest rzeczą wiadomą, że nowa republika będzie istnieć pod osłoną bagnetów japońskich. W ten sposób Japonja załatwiła swe porachunki z Chinami w Mandżurji. Niezawisła od rządu nankińskiego republika, zależeć będzie faktycznie od Nipponu. Mimowoli przychodzi na myśl Korea. I ona po wojnie rosyjsko-japońskiej było uznana za państwo niepodległe, lecz już w sześć lat później, w roku 1911 wcielono ją w skład Daj-Nihon-Tejkoku (wielkiego cesarstwa Japonji). Pu-Ji w rękach Japończyków, którzy go „hodowali“ w swej dzielnicy w Tjensinie, a później pokryjomu przewieźli do Mukdenu — będzie zabawką. — Prawdopodobnie nie będą oni mu przeszkadzać w dotychczasowem jego zajęciu: muzyce i bibljofilstwie.

Proklamacja niezawisłości wywołała radość wśród ludności, gnębionej dotąd wojną domową, napadami chunchuzów, nędzą i niepewnem jutrem. Twarda ręka gen. Hondzioo gwarantuje porządek i bezpieczeństwo.

Pierwsze posunięcia nowego rządu już są widoczne. Oddziały chińskie i japońskie likwidują bandy chunchuzów i przepędzają bandy niedobitków armji ponankińskiej gen. Din-Czao, który na mocy traktatu Karachana ze starym rządem chińskim, miał za zadanie ochronę bezpieczeństwa kolei transmandżurskiej.

W Mandżurji przeto zakończyła się tymczasowo zawierucha wojenna. Z resztkami wojsk pronankińskich i bandytami rozprawi się ostatecznie ekspedycja karna, która wylądowała już w Dajrenie. Łuna pożogi wojennej szaleje jednak w Szanghaju. Tu walka wre ostatnio o każdą piędź ziemi. Gdy gen. Tasiro, szef sztabu Ujedy pokazał w czasie rozmowy z chińskim generałem Fan-Ci-Wu, która poprzedziła ultimatum, plan miasta Szanghaju z linją demarkacyjną, oznaczoną przez Japończyków, chińska delegacja nawet go dobrze nie przejrzała. Rozmowa trwała kilka minut. Ultimatum przesłano oficjalnie głównodowodzącemu wojsk chińskich Caj-Tin-Kajowi, który za kwaterę obrał wioskę Cung-Zu. Na ultimatum odpowiedzieli Chińczycy ściągnięciem nowych posiłków z Kantonu i Nankinu.

Atak japoński był oparty na mądrze obmyślanym planie. Główne uderzenie miało być skierowane na środkową linję frontu — na wioskę Kjan-Wan, a celem odwrócenia uwagi nieprzyjaciela, artylerja i samoloty miały bombardować całą linję, a zwłaszcza odcinek południowy — Czapei i północny — fort i wieś Wusung.

Atak zakończył się jednak — ogólnie charakteryzując cały przebieg akcji — niepowodzeniem Japończyków. Generał Tokuno, dowódca brygady z Kandazawa, osobiście kierując atakiem 35 i 37 pułku piechoty, daremnie usiłował zająć Kjan-Wan i wyprzeć stamtąd słynną już 19-tą armję kantońską. Od pierwszej godziny po południu (o 7-mej rano według czasu europejskiego) do siódmej sforsował zaledwie 8 kilometrów, przełamując front w łunie pożaru po huraganowym ogniu artylerji, by w nocy znów ustąpić przed przeważającą siłą. Okazało się, że do walki wystąpiły, idąc ręka w rękę z armją kantońską, 87 i 88 dywizja nankińska, oraz t. zw. gwardja Czan-Kaj-Szeka. Nie liczyli się z tem Japończycy, gdyż wysyłając ultimatum z żądaniem cofnięcia się wojsk chińskich na odległość 20 kilometrów od miasta, wymieniali wyraźnie tylko armję kantotńską. Zeskoczyły ich również pola minowe, na których zostały rozszarpane cztery tanki. Nie pomogły nawet zasłony dymowe, które w przeddzień ataku były demonstsrowane przez posła japońskiego w Szanghaju, Sigemicu, przedstawicielom obcych mocarstw, by wykazać, że nie są to gazy trujące.

Na drugi dzień, pod naporem sił chińskich, obliczanych na 100.000, Japończycy musieli się wycofać na dawne stanowiska. Gen. Ujeda przeniósł się z Hon-Kju ze swym sztabem w tył, bliżej rzeki Wan-Pu. Po porażce nastąpił względny spokój. Względny, gdyż kanonada wybucha od czasu do czasu, a samoloty nie przestają krążyć, jak gołębie, nad dymiącemi zgliszczami Czapei, Kjan-Wan i Wusung.

Różnie rozważają w Szanghaju nieudałe ataki armji japońskiej. Przyznać należy, że Japończykom trudno prowadzić walkę w uliczkach i zaułkach, gdzie kryją się oprócz żołnierzy także „wolni strzelcy“, rażący ogniem z tyłu nacierających. W porównaniu z Chińczykami, Ujeda rozporządza własnemi siłami, reprezentowanemi przez młody rocznik. Armja natomiast kantońska — to żołnierze-włóczędzy, których zawodem od kilkunastu lat jest tylko wojna, taka właśnie, jaką się prowadzi w labiryncie uliczek. Wojna domowa nauczyła ich wielu rzeczy. Mają zresztą dobrych doradców. Są to byli oficerowie niemieccy, którzy mieszkali już od wojny światowej w kolonji niemieckiej w Szanghaju. Obecnie przeszli na żołd chiński. Jest jeszcze jedna wersja, posiadająca duże cechy prawdopodobieństwa. Oto walki o Szanghaj są teraz ośrodkiem zainteresowania wszystkich państw. Mandżurję zepchnięto na drugi plan. Nie pamiętają już o tym odległym, północnym kraju nawet sami Chińczycy, mieszkańcy Szanghaju. Japonja odwróciła uwagę rządu nankińskiego od kwestji mandżurskiej. Walki się toczą o przerwanie frontu w Kjan-Wan, lecz warto poświęcić życie kilku tysięcy żołnierzy japońskich dla tak smacznego kąska, jakim jest „Mansiu“ (Mandżurja).

Ten.

Kryzys w polskim Manchesterze — Łodzi.



Obok: Jeden z potentatów przemysłowych w Łodzi, p. konsul Maks Kon.



Ogólny widok Łodzi z wieży katedry.



Bezrobotni w zaułkach Łodzi.



Główna arterja Łodzi, ulica Piotrkowska.



Poniżej: Charakterystyczne typy robotnic łódzkich.

„Polski Manchester", królestwo wełny i bawełny, metropolja polskiego przemysłu włókienniczego, miasto do niedawna tysięcy dymiących kominów fabrycznych...

Łódź, ogromne ognisko niezmordowanej pracy i energji twórczej, miasto, wyrosłe niby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, gdzieś w zapadłym kącie borów mazowieckich, miasto bijące w swym niepowstrzymanym rozwoju wszelkie nietylko europejskie, ale i amerykańskie rekordy szybkości wzrostu liczby mieszkańców. Miasto, o historję narodzin którego, o genezę jego nazwy jeszcze dziś historycy staczają homeryckie boje, miasto polskie bez sławnej i szumnej przeszłości, zbiorowisko ludzkie, którego jedyną wielką tradycją jest wytężona ekspansja gospodarcza.

Ilekroć rozpoczyna się dyskusja na temat możliwości gospodarczych Łodzi, przypominają mi się słowa jednego z oficerów niemieckich, który podczas wojny światowej zajmował kierownicze stanowisko w administracji Łodzi, okupowanej i niszczonej z wysoce posuniętą planowością. Oficer ten, zarazem wybitny fachowiec, inżynier włókiennik, znał doskonale największe centra przemysłu włókienniczego w Europie, a także na swem ówczesnem stanowisku miał możność aż nazbyt dokładnego zapoznania się z siłami i możliwościami produkcyjnemi Łodzi. Otóż powyższy dygnitarz niemiecki, skądinąd człowiek bardzo kulturalny, słysząc kiedyś w towarzystwie, jak jeden z obecnych nazwał Łódź „małym polskim Manchesterem" zaprotestował przeciwko temu, oświadczając:

„Panowie się mylą. Wy Łodzianie sami nie znacie swego miasta i jego wielkości i możliwości gospodarczych. To raczej angielski Manchester, który znam bardzo dokładnie, należałoby nazwać „małą angielską Łodzią".

Te słowa człowieka obcego, wrogo zapewne nawet usposobionego wobec Łodzi, oddają w całej pełni jego wielki mimowolny podziw dla potęgi i ogromu przemysłu łódzkiego, jego organizacji technicznej, żywotności i wielkich możliwości produkcyjnych.

Łódź, jej mieszkańcy, wady i zalety tego wielkiego zbiorowiska ludzkiego były już wielokrotnie przedmiotem głębszych rozważań, jak również gwałtownych i namiętnych dyskusji i polemik. Wielkie miasto bowiem, żyjące swojem własnem, odrębnem życiem, odcinające się na pozór jaskrawo od tła etnicznego, na którem wyrosło, szalone kontrasty materjalne — społeczne i kulturalne, jakie kryje w sobie życie tego „dziwnego miasta", wszystko to były czynniki, wywołujące i skupiające na sobie uwagę opinji publicznej. Te wszystkie momenty zrodziły powódź zdań i opinij, nieraz zawierających ziarnka prawdy, a równie często z gruntu mylnych, wywołanych nieznajomością psychiki „polskiego Manchesteru", powierzchowną oceną trudnych i niezrozumiałych częstokroć dla obcego człowieka zjawisk życia tego miasta.

Aby zrozumieć Łódź, znaleźć klucz do jej tajemnicy, poznać tajny szyfr jej mowy, należy sobie najgłębiej uświadomić, że byt i życie tego miasta, powietrze, którem oddycha, soki żywotne, z których czerpie energję i zdolności rozwojowe, wszystko to jest złączone nierozerwalnie i zespolone najściślej z życiem i rozwojem tutejszego przemysłu włókienniczego.

Ten wielki kolos produkcyjny — przemysł włókienniczy Łodzi — jest najgłębszą kwintesencją i racją bytu „kominogrodu", źródłem, które stwarza życie i — molochem, który niszczy i pożera.

Rozwój Łodzi, jej wzloty i upadki, są najściślej związane z zwycięskiemi i przegranemi kampanjami włókiennictwa łódzkiego. Mieszkańcy „polskiego Manchesteru" nie mają własnego, niezależnego życia. Ich byt i istnienie, ich radości i smutki są ściśle uzależnione od drgnień górującego nad niem kolosa produkcyjnego, pana i władcy ich bytu.

Wełna i bawełna, haussa i baissa, konjunktura czy depresja — oto wielkie tamy i regulatory przypływu i odpływu, dobrobytu i nędzy, bogactwa i ruiny, szczęścia i radości, smutku i rozpaczy, osiadłej w murach miasta gromady ludzkiej.

Łódź, jak wszystkie młode, powstałe w rekordowym czasie miasta przemysłowe, których magicznym nakazem, powołującym je do życia była gorączka złota, jest miastem kontrastów. Wspaniałe pałace i luksusowe budynki obok drewnianych domków, nowe dzielnice, zbudowane według racjonalnych nakazów współczesnej techniki budowlanej obok brudnych zaniedbanych przedmieści, które oglądały narodziny nowoczesnej przemysłowej Łodzi, luksus życia i użycia magnatów przemysłu obok nędzy mas — oto dekoracje rozgrywającej się akcji. A na tem tle pędzi wartki niewstrzymany potok życia, huczą miljony i dziesiątki miljonów wrzecion i krosien, powstają i upadają fortuny, jedna baissa bawełny na rynkach światowych decyduje o stracie kilku miljonów dolarów, każe umilknąć warsztatom i pogrąża setki i tysiące ludzi w otchłań nędzy. Nie na długo. Rychło znajdują się nowi ludzie, dysponujący życiodajnym kapitałem, fabryki ożywiają się, napełniają hukiem i szumem, tętnią pracą. Na miejsce upadłego rodu potentatów bawełnianych przychodzą nowi ludzie, rodzą się nowe fortuny. Niewstrzymanie kręci się barwny film współczesnego życia wielkiego miasta przemysłowego.

* * *

Dziś Łódź przeżywa łącznie z całą Polską i całym światem ciężki kryzys.

Kryzys ten odczuwa Łódź, dzięki całemu splotowi przyczyn, w sposób szczególnie dotkliwy i bolesny.

Pod ciężkim tchnieniem depresji gospodarczej osłabło tętno życia miasta, milkną coraz nowe warsztaty pracy, bezrobocie, głód i chłód ogarniają coraz większe rzesze. Czarne skrzydła nędzy rzucają ponury cień na miasto.

Usycha i zapada w sen letargiczny wielki organizm produkcyjny, duma polskiego Manchesteru. Czy zamrze zupełnie?

Napewno nie. Obudzi się wraz z pierwszemi promieniami konjunktury do nowego, wielkiego etapu wytężonej twórczości, spotęgowanej stokrotnie, niezwalczonej. To rzecz nie ulegająca najmniejszej wątpliwości. Dowodzi tego niezbicie historja nowoczesnej Łodzi, wielka epopea upadków i tem potężniejszych wzlotów, nieskończone pasmo następujących po sobie klęsk i zwycięstw.

M. W.

ROZMAITOŚCI.



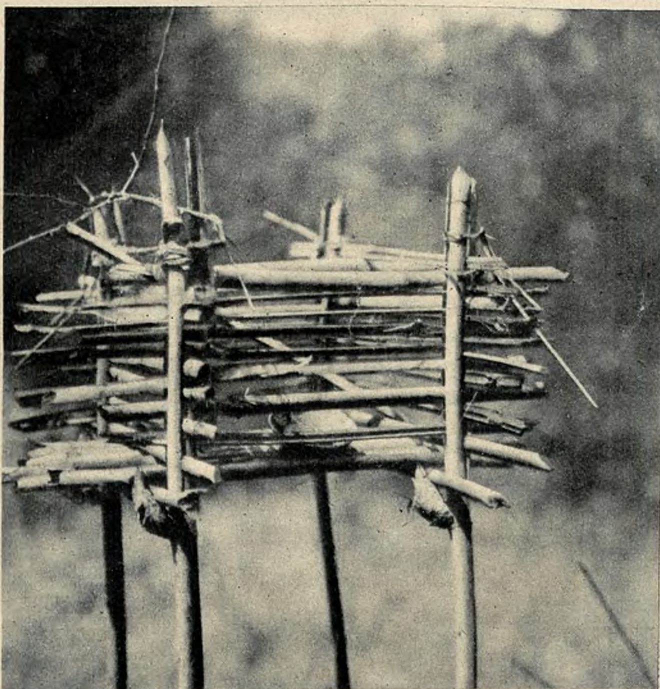
MURZYNKI UCZĄ SIĘ SZYĆ. Od czasu, jak Kongo dostało się pod panowanie belgijskie, rozpoczyna się zarówno gospodarczy, jak i cywilizacyjny rozwój tego kraju, leżącego w centralnej Afryce, stanowiącego niewyczerpane źródło surowców. Szczególnie intensywną działalność rozwinęli w Kongu Misjonarze. Do ich szkół uczęszcza obecnie 81.400 dziewcząt. Uczą się one tam krawiectwa, a przedewszystkiem szycia na maszynie. Zdjęcie przedstawia szkołę murzyńską w Upper Kessai.

The New York Times.



Na prawo: **WYKOPALISKA W ASSYRJI.** W ostatnich czasach kilka ekspedycyj podjęło na szeroką skalę zakrojone badania w Assyrji. Kraj ten, leżący między Tygrysem a Eufratem, uważają niektórzy za kolebkę współczesnej cywilizacji, której początki dali Sumeryjczycy i Akkadejczycy, ludy pochodzenia uralsko-altajskiego. Po nich dopiero cywilizację przejęli Semici i Egipcjanie, zkolei zaś Grecy i Rzymianie. — Zdjęcie przedstawia ruiny świątyni, odkopane w Mezopotamji nad Tygrysem.

Presse-Photo.

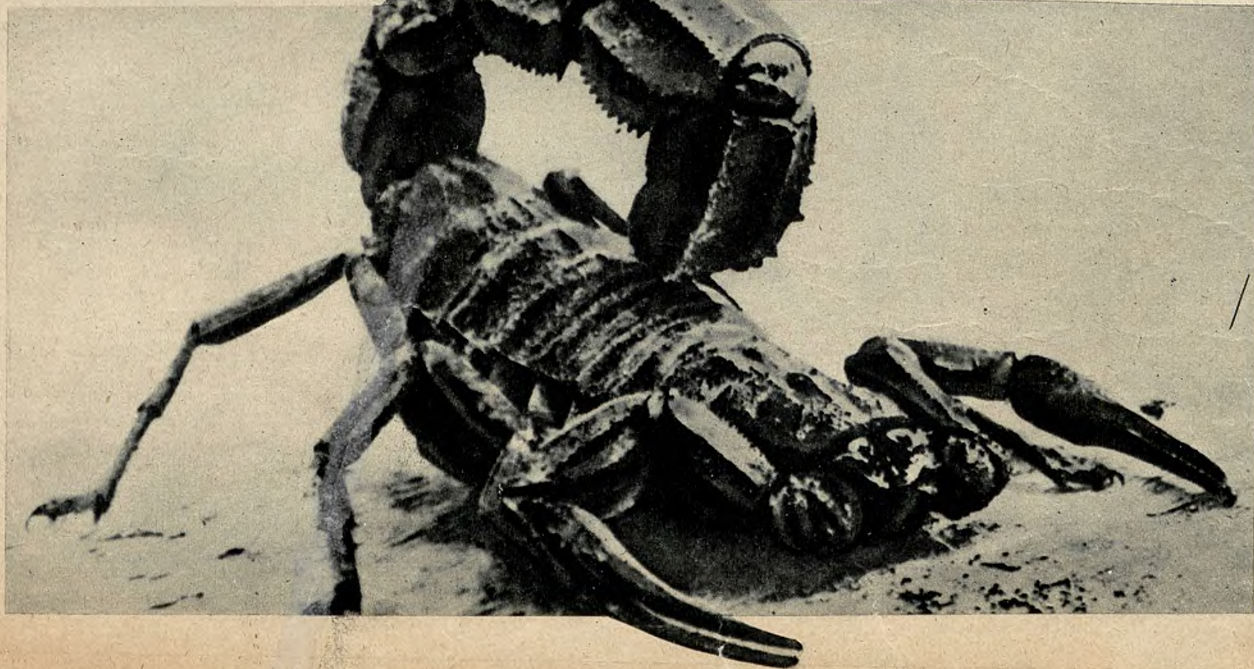


ABY ODSTRASZYĆ ZŁE DUCHY. U wszystkich niemal ludów prymitywnych spotykamy wiarę w złe i dobre duchy, które bądź szkodzą, bądź też pomagają człowiekowi. Pomoc ducha dobrego można sobie zyskać zapomocą odpowiednich ofiar, złego zaś odstraszyć. — Zdjęcie nasze przedstawia ołtarz bambusowy, używany w Indochinach przez szczep Rhale dla odpędzenia złych duchów. U nas na Kresach chłopi białoruscy uważają, że działanie złych duchów unicestwia siekiera, wbita w próg domu. Fot. inż. T. Perkitny.



KŁOPOTY ANGLIKÓW Z KROWAMI. Plagą miast w Indjach są krowy, wałęsające się po ulicach. Utrudniają one, a nieraz wręcz uniemożliwiają komunikację tramwajową i autobusową, kładąc się na szynach lub na jezdni. Usuwać ich nie wolno, bo krowy są przez Hindusów uważane za zwierzęta święte. — Nasze zdjęcie przedstawia ulicę w Delfji ze świętemi krowami.

R. Sennecke — Berlin.



Obok: **NIEZWYKŁY SAMOBÓJCA.** Skorpjon egipski (na zdjęciu) należy do członkonogów, znanych ze swej jadowitości. Jad skorpjonów, umiejscowiony w ostrem żądle, znajdującem się na końcu ogona, służy im do zabijania owadów i drobnych zwierzątek, któremi się żywią. Rany, zadane przez niektóre skorpiony, są dla człowieka wysoce bolesne i niebezpieczne, podobnie, jak ukąszenie węża i mogą spowodować śmierć. Znamy około dwustu gatunków skorpjonów, zamieszkujących przeważnie kraje gorące. Tylko parę gatunków mniej szkodliwych występuje w Europie, n. p. na wybrzeżach morza Śródziemnego. Skorpjony naogół są małe, o barwie czarnej lub żółtawej. — Największe gatunki indyjskie i afrykańskie mają ubarwienie czarne i przekraczają zaledwie dwadzieścia parę centymetrów długości. Skorpjony są żyworodne, a młode ich, zupełnie wykształcone, przypominają osobniki dorosłe. Ruchy skorpjonów są bardzo żywe i zwinne, co można zaobserwować, jeżeli się je wypłoszy z ich kryjówek, w których przebywają w czasie dnia, chroniąc się przed światłem słonecznem. Ulubionemi kryjówkami skorpjonów są dziury pod kamieniami, oraz szczeliny starych murów. — Niektórzy twierdzą, że skorpjon znajdując się w niebezpieczeństwie życia, popełnia samobójstwo, wbijając sobie żądło we własne ciało. Czy to rzeczywiście prawda, nie zostało dotąd stwierdzone.



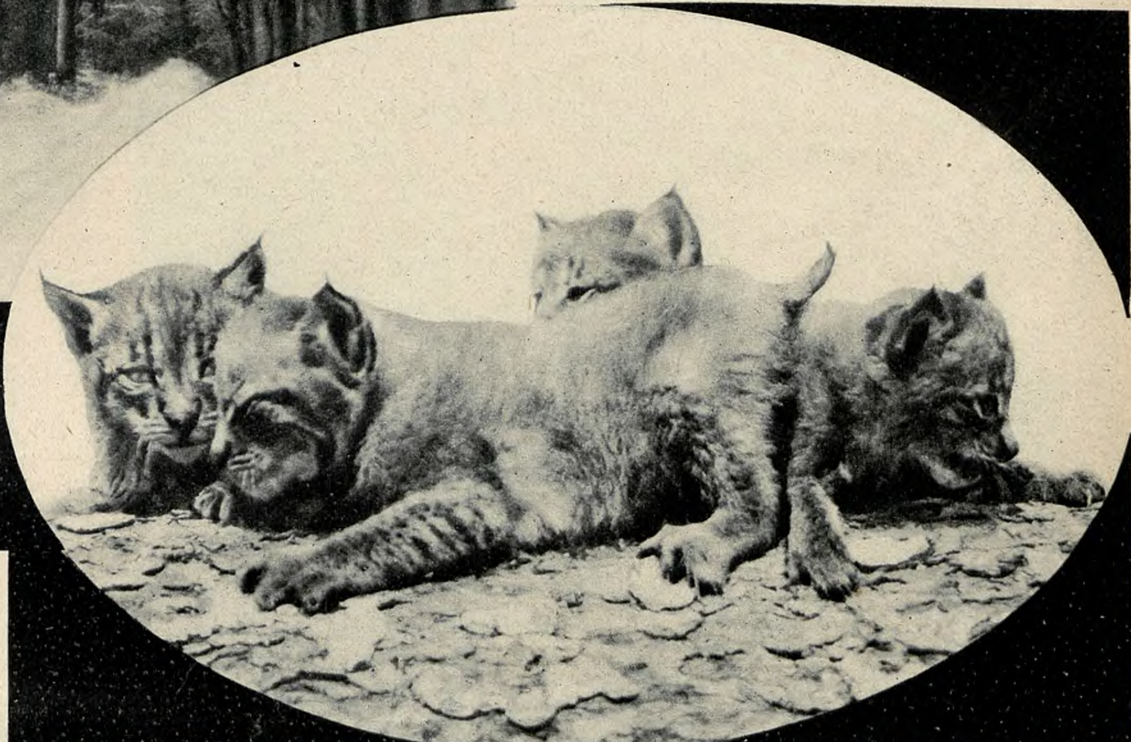


Żubry na śniegu w Białowieży. Fot. J. Karpiński.

W kole: Wilczki młode z Puszczy Białowieskiej. Fot. J. Karpiński.

Poniżej: Żubry w Parku Narodowym Białowieskim. Fot. J. Karpiński.

Fragment Puszczy Białowieskiej. Jest to największy obszar leśny w Europie. Leży ona w pow. bielskim (wojew. białostockie) i rozciąga się dokoła źródłowisk Narwi i jej dopływów, na wysokości 197 m. nad poziom morza. Obszar jej wynosi 114.378 ha. Pierwszą kolej do Puszczy zbudowano w roku 1894. Fot. W. Pikiel, Warszawa.



W owalu: 4-tygodniowe rysie z Puszczy Białowieskiej. Fot. J. Karpiński.

PARK NARODOWY W BIAŁOWIEŻY.

Nawet w dawnej Polsce Jagiellońskiej, tak obfitującej w bory i lasy, słynną była Puszcza Białowieska, w której odbywały się wspaniałe łowy królewskie.

Po upadku Polski Puszcza Białowieska dostała się pod panowanie rosyjskie. Rządy carskie, pod któremi inne lasy w byłej Kongresówce uległy straszliwej dewastacji, udzieliły Puszczy Białowieskiej ze względów myśliwskich należytej ochrony. Troskliwą opieką otoczono przedewszystkiem żubry, które w Białowieży znalazły ostatnią swą ostoję po zupełnem ich wytępieniu w pozostałych częściach Europy. — (Żubr białowieski, Bison europaeus, tworzy specjalny gatunek, odmienny od bizona amerykańskiego).

Czasy wojny przyniosły dla Puszczy Białowieskiej katastrofę. Ciągłe przemarsze wojsk, walki na terenie puszczy, w czasie wojny światowej, a potem polsko-bolszewickiej, bezwzględna eksploatacja puszczy przez Niemców, zniszczyły pierwotny charakter puszczy na wielkich przestrzeniach. — Przetrzebiono straszliwie zwierzynę, a w pierwszych latach powojennych padł ostatni żubr z ręki kłusowników...

Po ustąpieniu bolszewików, objęło Puszczę w posiadanie polskie Ministerstwo Rolnictwa. Dzięki wytężonej pracy Państwowej Ochrony Przyrody, pod przewodnictwem Prof. Dra Szafera oraz opiece i życzliwości zasłużonego dyrektora departamentu leśnictwa inż. Miklaszewskiego, wydzielono w sercu puszczy najlepiej jej zachowaną część na rezerwat ochrony przyrody. Rezerwat nie mógł się jednak rozwinąć należycie z powodu zaciążenia nad wydzierżawioną puszczą obcej spółki „Century", która prowadziła dalej dzieło eksploatacji. Dopiero po rozwiązaniu kontraktu z „Century" i objęciu całego kompleksu Białowieskiego przez Centralną Dyrekcję Lasów Państwowych, pod energicznem kierownictwem dyr. Adama Loreta, nastąpiło całkowite uporządkowanie stosunków w puszczy.

Rezerwat główny o powierzchni 4.640 hektarów, wydzielono z całego obszaru puszczy, wynoszącego ponad 200.000 ha, jako osobny „Park Narodowy", który częściowo ogrodzono i zaopatrzono w piękną bramę wjazdową. Utworzono szereg mniejszych rezerwatów i półrezerwatów o łącznej powierzchni ponad 2.000 ha. Dla nadzoru Parku Narodowego i rezerwatów powołano doskonałego fachowca inż. leśn. J. Karpińskiego, który zajął się rekonstrukcją Muzeum w Białowieży i organizacją turystyki.

Parę lat temu przeżyła też puszcza wielkie święto. Oto rząd polski zakupił zagranicą kilka sztuk żubrów, które przechowały się w niektórych zwierzyńcach, darowane lub odstąpione tam jeszcze za czasów carskich i nastąpiło wprowadzenie na nowo do puszczy dawnego jej władcy, wygnanego podczas wojny. Żubry, wprowadzone do Białowieży i pozostając tam pod troskliwą opieką wyrobionego personalu, którym rządzi wielki miłośnik i znawca zwierząt, dyrektor lasów Białowieskich inż. Modzelewski, czują się tam znakomicie i rozwijają świetnie. Dzisiaj już stadko z 11-tu żubrów jest przedmiotem podziwu stale rosnącej rzeszy turystów z całej Polski i zagranicy (w roku 1932 zwiedziło Park Narodowy ponad 16.000 osób), a szybkie mnożenie się żubrów pozwala żywić nadzieję, że Puszcza Białowieska napowrót zaludni się setkami tych wspaniałych zwierząt.

Jak wielką atrakcją turystyczną dla cudzoziemców może być Park Narodowy Białowieski, świadczyła wycieczka korpusu dyplomatycznego z Warszawy, urządzona przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych z inicjatywy p. wiceministra Becka do Białowieży w lecie 1931 r. Piękno Parku Narodowego, przedstawiającego obraz puszczy nizinnej środkowo-europejskiej w przepychu i pierwotności, jakiemu niema równych na całej kuli ziemskiej, wywołało głęboki zachwyt cudzoziemców.

Przez utworzenie Parku Narodowego w Białowieży uzyskała Polska objekt pierwszorzędny, mający nie mniejszą wartość od najsłynniejszych Parków Narodowych światowych. Park Narodowy Białowieski ma ogromne znaczenie tak dla nauki, która zyskała w nim warsztat pracy nad pierwotną przyrodą, jak dla wychowania młodzieży, przed którą rozpościera się w Białowieży obraz dawnej, królewskiej, Jagiellońskiej knieji, jak wreszcie dla podniesienia turystyki krajowej i zagranicznej, co ma tak doniosłe znaczenie gospodarcze dla Państwa.

Prof. Dr Walery Goetel.

KOREA

BRAMA WYPADOWA JAPONJI.

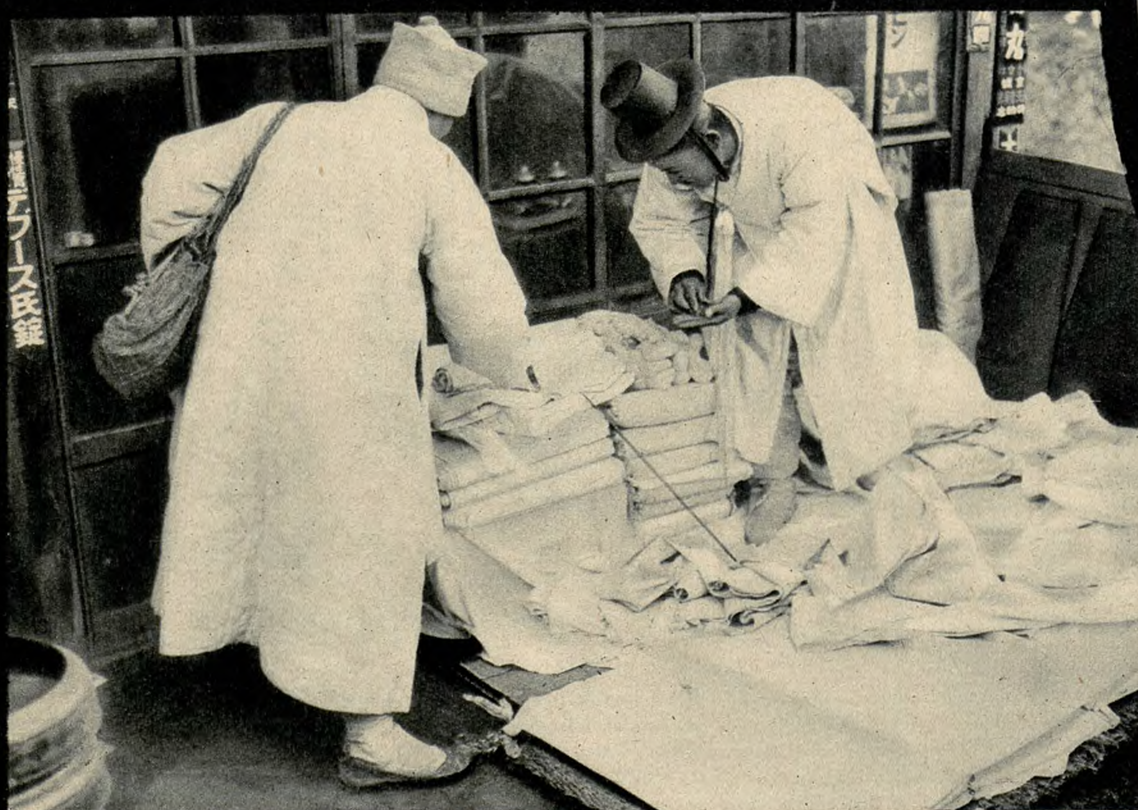


Na lewo:

Klasztor buddyjski w niedostępnych górach Korei.

Poniżej:

Sprzedaż płótna na ulicach Seulu.





W kole:

Stara brama miejska w Suigen w Korei



Na prawo:

Dziewczę koreańskie przed domem. Domy koreańskie są budowane z gliny i mają szyby papierowe.

Poniżej:

Mężczyźni zajęci praniem bielizny i ubrań.



Wszystkie zdjęcia „Neofot".

Każdy cudzoziemiec, zwiedzający Koreę, choćby tylko przejechał w pullmanowskim wagonie przez cały kraj ze stacji granicznej Antung, nad rzeką Jalu, do Fuzan, portu najbliżej położonego Japonji, musi przyznać, że nazwa Cioo-sen (kraj spokojnego poranka), odpowiada najzupełniej krajobrazowi, rozciągającemu się po obu stronach toru kolejowego.

Już po przebyciu kilkudziesięciu kilometrów od rzeki Jalu, rozumie się nazwę Cioo-sen. Pociąg przebiega przez jednostajną szachownicę pól ryżowych, okrąża wzniesienia i pagórki, niczem się nie różniące jeden od drugiego i mija wioski, w których małe domki są pokryte jakgdyby półkoszkami, równo odmierzonemi ze słomy ryżowej. Na schludnych stacjach, gdzie urzędują Japończycy, nie słychać gwaru i wrzawy Chińczyków, jak w Mandżurji. Zamało ich jest w Korei. Czemże jest 50 tysięcy „Synów Kraju Środka" wobec 20 miljonów Koreańczyków i 500 tysięcy Japończyków? Ci ostatni skupieni są po większych miasteczkach, na południu, gdzie kwitną w lutym, tak jak u nich w ojczyźnie, śliwy i wiśnie. W północnej części kraju, pokrytej o tej porze śnieżną powłoką i lodem, mieszkają sami tubylcy.

Gdyby ktoś zapytał mnie nagle — czem się trudnią Koreańczycy — odpowiedziałbym bez namysłu: — praniem. Przechodząc przez wsie koreańskie, w każdej słyszymy od rana do wieczora stuk pałek, tłukacych bieliznę nad rzeczkami i strumykami lub przy studniach. Piorą dziewczęta, kobiety, a nawet mężczyźni. — Sami zresztą są sobie winni. Oto wszyscy bez wyjątku, mężczyźni i kobiety, już od piętnastego roku życia noszą białe odzienie. Jedynym kontrastem w ubiorze Koreańczyka, to kapelusz i sandały. Kapeluszem w tym wypadku trzeba nazwać przykrycie głowy z czarnego filcu, w formie stożka ściętego, nieraz o śmiesznie małej objętości, z twardym rondem. Kapelusik ten podtrzymywany jest paskiem pod brodą. Kulisi, na wzór japoński, opasują głowę białym ręcznikiem. Bogatsi Koreańczycy chodzą w oryginalnych czarnych sandałach, podwiniętych z przodu i z tyłu jak dzioby łódki.

Cudzoziemca, wałęsającego się po wsi, lub spacerującego po ulicach miasta, zadziwić musi sposób chodzenia Koreańczyków. Każdy z nich kroczy powoli, wyprostowany, jak topola, z oczyma utkwionemi w dal. — Na pierwszy rzut oka dopatrujemy się w co drugim niemal przechodniu jakiegoś dostojnika. Sztuki tej, jak mnie objaśniano, uczą się podobno Koreańczycy już w młodości. Niewątpliwie nie bez wpływu pozostaje również noszenie bielizny, mis i pakunków na głowie.

Stolica Korei, Seul (w języku japońskim Kej-Dzioo), jest może jedynem miastem w całym kraju, godnem baczniejszej uwagi obcokrajowca. Tu mieszczą się zabytki dawnej Korei, pamiętające czasy Kubłaj-Chana, i tu wznoszą się pałace byłych cesarzy, w których obecnie rezydują Japończycy. Z okolicznych wzgórz wyzierają ciche, buddyjskie klasztory, wspominające samodzielność kraju i przyglądające się ze zdziwieniem nowopowstałym, potężnym gmachom japońskim. Domy mniej zamożnych tuziemców są takie same, jak na wsi. Małe, szare, z gliny lub z kamienia, pokryte słomą ryżową, z wysoko, prawie pod dachem osadzonemi oknami, by obce oko nie zaglądnęło do środka — różnią się zasadniczo od japońskich, jednopiętrowych, białych domków, zabezpieczonych dachówką przed pożarem.

Z Koreańczykami łatwo można się porozumieć. Prawie wszyscy mówią po japońsku, lub swoistym dialektem rosyjskim. Niektórzy płynniej władają językiem Kon-Fu-Ceego, niż japońskim. Kobiety są płochliwe. Wogóle trudno je nawet zobaczyć, jeśli się odwiedzi dom Koreańczyka. Nic dziwnego. Religja buddyjska, przyjęta w niższych sferach, zabrania im przyjmować cudzoziemców i siadać do stołu w towarzystwie męża. A mimo to jest ona szanowana, jako matka i żona.

„Kraj Spokojnego Poranka" uspokoił się — jak mi szczegółowo opowiadał Japończyk, w którego towarzystwie przejeżdżałem do Fuzan, dopiero w ostatnich latach. Zebezpieczony od Chin i Mandżurji rzeką Jalu, był widownią najazdu Mongołów, Mandżurów i Chińczyków w ciągu długich wieków. Potem wyzyskiwali kraj Rosjanie. Lecz Koreańczycy cierpieli nietylko od samych najeźdźców. Ludność jeszcze przed 30 laty dzieliła się, jak określił amerykański dyplomata, Karol H. Sherill, na „złodzieji i okradanych". Złodziejami byli arystokraci, t. zw. Janiban, którzy wybierali sobie z ludności bezpłatnych robtoników, nakładali dowolne podatki i konfiskowali urodzajne grunta. „Okradanym" nie wolno było posyłać dzieci do szkół i spacerować w nocy po ulicach. Domek robotnika czy rolnika nie mógł wynosić więcej, jak 9 metrów długości. Naród żył w jarzmie i musiał pracować tylko dla możnych.

Po wojnie rosyjsko-japońskiej Korea została uznana za państwo neutralne, a w 1911 r. wcielono ją do cesarstwa japońskiego. Początkowe wrzenie wśród ludności zostało stłumione twardą ręką Japończyków. Wielu gorących patrjotów wyemigrowało do Mandżurji i Chin. Niemniej energicznie rozprawił się z demonstrantami admirał baron Saito w 1919 r., po śmierci zdetronizowanego cesarza Ji. Obecnie, po dwudziestu latach, Koreańczycy nie zapomnieli o utraconej niepodległości.

Bezstronnie należy przyznać, że Japończycy dużo zdziałali dobrego w Korei. Teraz cały kraj jest pokryty siecią kolejową oraz drogami lądowemi i wodnemi. Uruchomiono kopalnie, założono liczne ośrodki przemysłowe i banki, rozwinięto handel i rybołóstwo. Zaprowadzono pocztę, telegraf, a w miasteczkach oświetlenie elektryczne. Pola, umiejętniej użyźniane, przynoszą po trójne plony. Stworzono armję, policję i ograniczono podatki. Od r. 1919 Koreańczycy mają swoje własne sądownictwo i administrację. W 1906 r. w całym kraju były 32 szkoły, w 1919 r. 517, a obecnie jest ich przeszło cztery tysiące.

Przyjacielskie stosunki jeszcze nie zapanowały między tuziemcami i Japończykami, lecz coraz częściej słyszy się od Koreańczyków, że samej Cioo-Sen, bez pomocy obcej, trudno byłoby się utrzymać w zupełnej niezależności. Wprawdzie zdarzają się wypadki demonstracji czy zamachu, lecz są to czyny przeważnie fanatyków, pozostających pod wpływem komunistów. Wypadki te zdarzają się ostatnio rzadko, w miarę tego, jak Japończycy twardą rękę okupanta przemieniają na opiekuńczą, w myśl swej zasady, że „Korea, to adoptowana córa Japonji".

Ten.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



Na prawo: **MISS EUROPA WRÓCIŁA DO DANJI.** Otrzymawszy na konkursie w Nicei tytuł najpiękniejszej kobiety Europy, wróciła Miss Danja do swojej ojczyzny, gorąco witana przez tłumy, które urządziły jej owację na dworcu. — Moment ten przedstawia fotografja.

Service General de la Presse — Paris.





Obok: **ODZNACZENIE DZIENNIKARZA AMERYKAŃSKIEGO W PARYŻU.** W tych dniach znany dziennikarz amerykański, Alvan S. Sanborn, został przez rząd francuski odznaczony krzyżem Legji Honorowej. — Zdjęcie nasze przedstawia moment dekoracji, po której gen. francuski Gourand, jak każe zwyczaj, ucałował dziennikarza.

Service General de la Presse — Paris.



WANDALIZM W HISZPANJI. Jedną z największych świętości narodu hiszpańskiego był posąg Madonny „Purissima“ (na zdjęciu) w katedrze w Walencji, dzieło znanego rzeźbiarza Esteve'a. — W czasie ostatnich rozruchów komunistycznych i antyreligijnych, posąg ten został przez motłoch strącony i rozbity na drobne kawałki, co widzimy na fotografji.

Na prawo: **POGRZEB OSTATNIEGO KRÓLA SASKIEGO.** Odbył się w tych dniach w Dreźnie. — Zdjęcie nasze przedstawia książąt niemieckich, kroczących w orszaku żałobnym. Wystąpili oni w mundurach armji cesarskiej.

Atlantic-Photo.

W owalu: **KŁOPOTY ANGIELSKIE Z IRLANDJĄ.** W Irlandji biorą obecnie górę prądy separatystyczne, dążące do zupełnego oderwania Irlandji od Anglji i stworzenia z niej niezależnego państwa republikańskiego. Człowiekiem sztandarowym tego kierunku jest De Valera (na zdjęciu), nieustraszony bojownik o prawa Irlandji. Obecnie przy wyborach odniósł on decydujące zwycięstwo.



W SPOŁECZEŃSTWIE OBŁĄKANYCH.

W Zakładzie dla umysłowo chorych w Kobierzynie.

Naprzeciw Bielan, pod Krakowem, po drugiej stronie Wisły, na zboczu wśród parku małe, płotem otoczone miasteczko — zakład dla umysłowo chorych w Kobierzynie.

Już pobieżne zapoznanie się z rozkładem budynków i planem administracyjnym wykazuje myśl przewodnią, którą się kierowano przy budowie. Zgodnie z postępem nauki psychiatrji chodziło o to, aby ludziom, dotkniętym klątwą umysłowej choroby i przez to nie nadającym się do życia wśród normalnych warunków socjalnych, stworzyć przy uwzględnieniu ich nienormalności osobne społeczeństwo, dać możliwy modus vivendi i złudzenie życia. Jest to trjumf wiedzy i humanitaryzmu, wobec faktu, że jeszcze na początku oświeconej ery ludzkości obłąkanych zamykano do klatek, a wybuchy choroby poskramiano kajdanami.

Przyglądnijmy się społeczeństwu obłąkanych.

Ogromny park, w parku kwietniki, gazony, las świerkowy — kępy zieleni, przecięte ulicami, a przy nich wille, pawilony. Jest kościół, teatr i kinematograf w osobno na ten cel wzniesionym gmachu, bibljoteka, elektrownia, duży sklep, drukarnia, garaże i stacja automobilowa Kompletne miasto w miniaturze z zakładami użyteczności publicznej i czemś w rodzaju magistratu, za który uważać możemy stojący naprzeciw bramy dom dyrekcji i administracji. W ulicach parku cisza i idealne wiejskie powietrze. Przechodzą czasem zakonnice w kornetach, lekarze w białych kitlach, lub chorzy w specjalnych ubraniach idą do pracy pod nadzorem pielęgniarzy. Wszystko wygląda daleko mniej sensacyjne, niż pisze się w literaturze, smutno tylko dla zwiedzających. W tej atmosferze spokoju chorzy czują się właśnie dobrze i nawet optymistycznie. Obserwator, umiejący patrzeć bystrzej, wnet przekona się, że nastrój przygnębienia sugeruje sobie sam, a nie czerpie z atmosfery otoczenia. Kto potrafi się przez niego przebić, odrzuci balast, który możnaby słusznie nazwać „literackim“,uzyska jasność patrzenia i sądu.

To są właściwe okulary — patrzmy przez nie.

Życie chorych, z chwilą przejścia bramy zakładu ujęte przepisami i doświadczeniem lekarzy, układa się następująco: Pacjent, odwożony zwykle przez rodzinę, ma już świadectwo lekarskie choroby, wystawione przez któregokolwiek z lekarzy psychjatrów. Jest to tylko coś w rodzaju paszportu, na podstawie którego przyjmują do zakładu. Po przyjęciu, każdy z chorych zatrzymuje się na oddziale obserwacyjnym. Nie potrzeba dodawać, że wszystkie oddziały posiadają podwójne pawilony: dla mężczyzn i dla kobiet. Pobyt na obserwacji trwa krócej lub dłużej — zależnie od choroby — najmniej jednak około 5 tygodni. Obserwacja albo potwierdza djagnozę, z którą chory przyszedł do zakładu, albo jej nie potwierdza. Wówczas lekarz obserwujący stawia djagnozę własną. Pacjent rozpoczyna kurację i dostaje przydział na jeden z odpowiednich pawilonów. Pomińmy kurację — należy ona do strony zawodowo-lekarskiej i śledźmy losy chorego tylko jako jednostki w społeczeństwie obłąkanych.

Chory jest już na nowym oddziale, który nie tylko urządzeniami nadaje się najlepiej do pobytu dla ludzi o takim czy innym typie choroby — ale który również pozwoli mu pracować w jego zamiłowaniu czy fachu; uczyni go możliwie użytecznym i da życie, upodobnione do życia w społeczeństwie zdrowych. Idea humanitarna i społeczna godzi się tu doskonale z programem kuracji. Chory uczy się być — o ile to możliwe — normalnym.

Są więc w zakładzie pawilony z warsztatami tkaczy, szewców, krawców, jest drukarnia i introligatornia — a co najważniejsze, ogromny ogród dla pracy na roli. W niedzielę msza w kościele, raz na tydzień rozrywka: kino, przeźrocza z odczytem, teatr, nawet wieczorki z tańcami. Słowem — sui generis — społeczeństwo. Nie brak w niem artystów, muzyków, malarzy i ludzi pracujących umysłowo; mają pracownie w osobnym budynku i pracują z niezłymi rezultatami. Obrazy malarzy przypominają skrajnych kubistów i formistów. We wnętrzu pawilonów sale idealnie czyste, jasne, dużo powietrza i roślin doniczkowych. — W ogólności jest tu wszystko, co może zmniejszyć tragedję tych nieszczęśliwych.



Chorzy z Kobierzyna zajęci pracą w ogrodzie.



PROCES DUNIKOWSKIEGO. Oskarżonemu o oszustwo „fabrykantowi złota“, inż. Dunikowskiemu, osadzonemu w więzieniu paryskiem, na skutek żądania osób, które powierzyły mu znaczne kwoty na jego doświadczenia, spodziewając się wielkich zysków, dotąd nie udało się w obecności ekspertów wydobyć złota z piasku. Obecnie Dunikowski zażądał sprowadzenia z Nicei innej maszyny do fabrykacji złota, która była zastawiona w lombardzie. — Zdjęcie przedstawia skrzynię z maszyną w Pałacu Sprawiedliwości w Paryżu.

ZIMA W POLSCE W PEŁNI.



Góral z Wisły na Śląsku w stroju zimowym. Ubiory ludu śląskiego odznaczają się wielką malowniczością.

Ag. fot. „Światowida".

Luty znaczy tyle, co zły i okrutny. Może dlatego tę właśnie nazwę nadano drugiemu z rzędu miesiącowi w roku, ponieważ właśnie w tym czasie przypada w Polsce największe natężenie zimy, a mrozy i zawieje śnieżne dają się ludności szczególnie we znaki. W starych pamiętnikach czytamy, że mniej więcej koło Matki Boskiej Gromnicznej spadały ogromne śniegi, a wilki podchodziły aż pod domy. Wedle meteorologji ludowej, koniec zimy wypada na 14 marca, tj. na św. Grzegorza, kiedy to „rzeki idą do morza".

Najstraszliwsze mrozy w lutym panowały w 1929 r., dochodziły bowiem do minus 42, zarówno na Podhalu, jak i na Kresach. Tegoroczny luty obfituje także w silne mrozy i zawieje śnieżne. Z całego kraju sygnalizują bowiem ogromne opady śnieżne, które w niektórych powiatach sparaliżowały komunikację zarówno kolejową, jak i autobusową.

Za najzimniejsze miejsce w Polsce uchodzi Pohulanka na Wileńszczyźnie. Miejscowość ta, położona wśród wydm piaszczystych i lasów, jest znana z silnych mrozów. Wogóle na całej Wileńszczyźnie i na Kresach zima zaczyna się wcześnie i trzyma prawie do końca marca, tak, że przedwiośnia tam nie ma. Zaraz po mrozach przychodzą ciepłe, prawie gorące dnie. Mrozy na Wileńszczyźnie są także dlatego tak dokuczliwe, ponieważ towarzyszą im silne, porywiste wiatry.

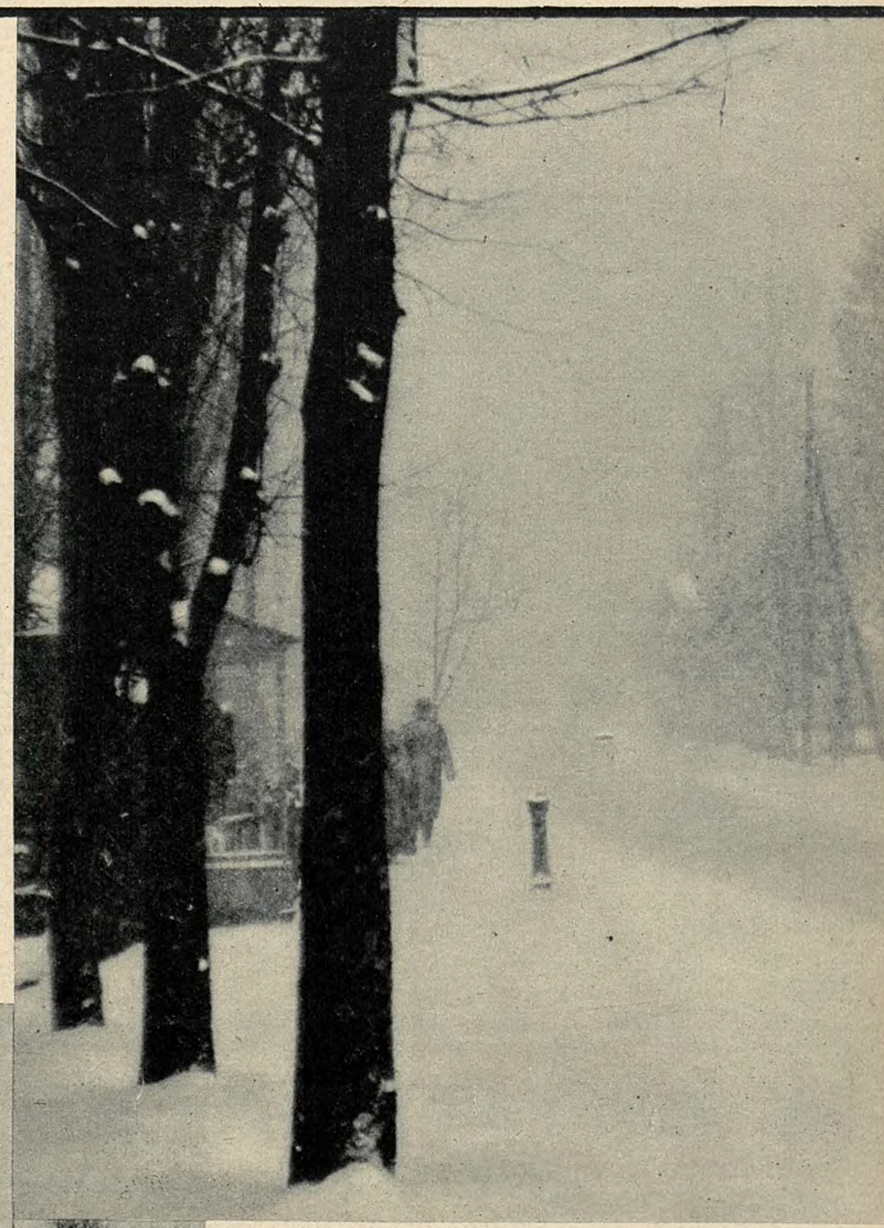
Za najcieplejszą połać naszego kraju uchodzi województwo poznańskie. Wiosna tam zaczyna się wcześnie. Natomiast na Podhalu dopiero w miesiąc później, niż np. w Krakowie, puszczają pierwsze pędy.

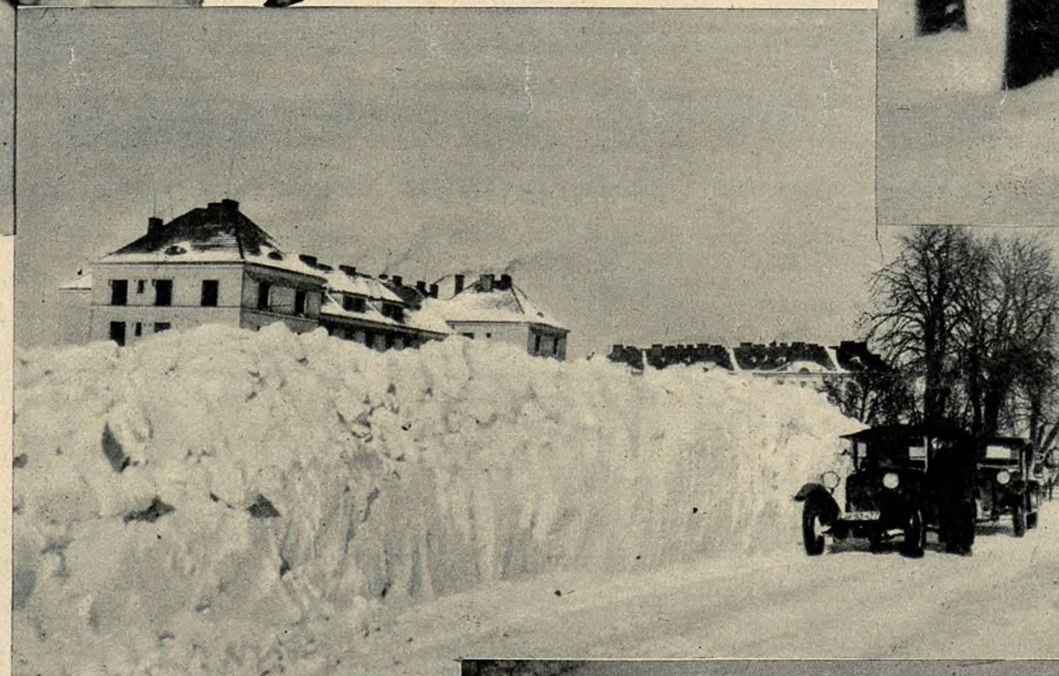
W Karpatach duże śniegi są ogromną wygodą dla ludności, umożliwiają jej bowiem zwóz drzewa z lasów do tartaków. W grudniu, styczniu i lutym wre tedy w lasach karpackich praca gorączkowa. Teraz coprawda wskutek złej konjunktury, popyt na drzewo jest mały, co wpływa hamująco na spekulantów, którzy jeszcze do niedawna wprost rabunkowo niszczyli drzewostan.

Jak długo potrwa zima? Oto pytanie, nad którem głowią się nasi domorośli i urzędowi meteorolodzy. Wedle przypowieści ludowych, ma się ona ciągnąć aż do Wielkanocy, t. zn. aż do końca marca, ponieważ na św. Macieja było ciepło. Optymiści jednak nie bardzo wierzą w te przepowiednie. Dla nich najlepszym prognostykiem wiosny jest pojawienie się szpaków. W tych dniach przyleciały już one do Polski, jako radosny zew przedwiośnia.

Może więc przyniosą i ciepło?









Zadymka śnieżna w Zakopanem.

Ag. fot. „Światowida".

Na lewo: Ulica Stryjska we Lwowie, ze zwałami śniegu, usuniętemi z jezdni.

M. Münz — Lwów.

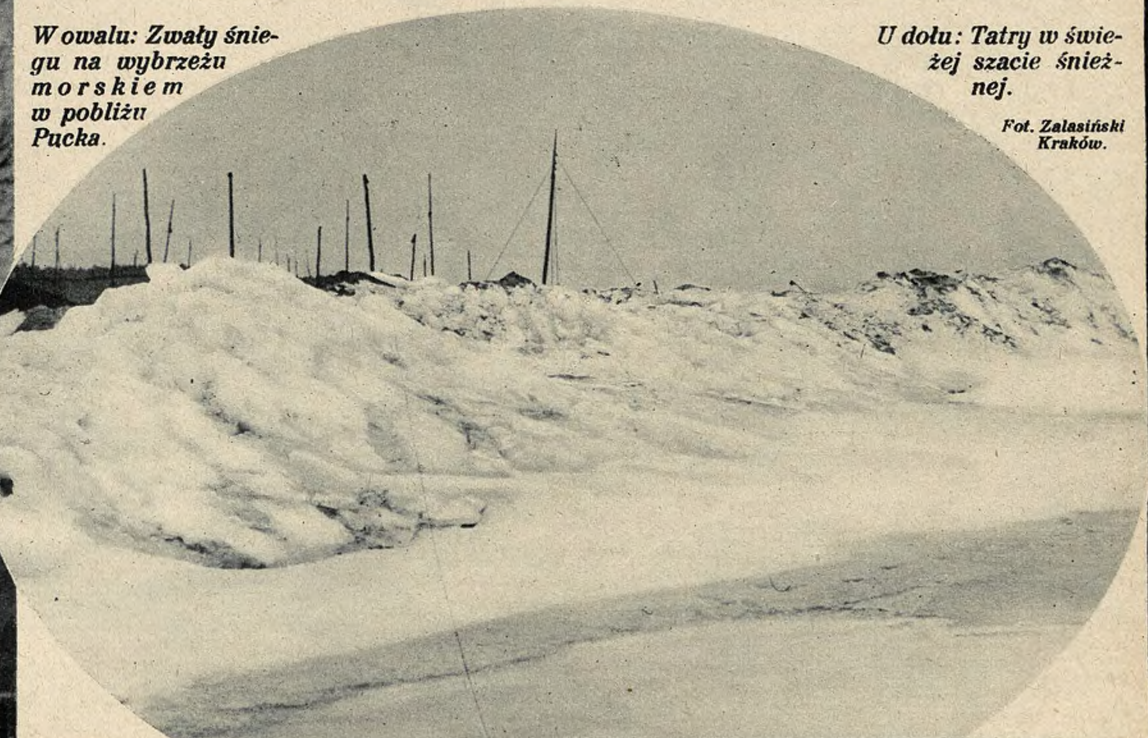
Na prawo: Stary Hryciu, Rusin z okolic Wygody skorzystał z nowego śniegu i zabrał się do wywożenia nawozu w pole.

Ag. fot. „Światowida".

Poniżej: Zawiane śniegiem chaty na Wileńszczyźnie.

Fot. J. Bułhak — Wilno.





W owalu: Zwały śniegu na wybrzeżu morskiem w pobliżu Pucka.



U dołu: Tatry w świeżej szacie śnieżnej.

Fot. Zalasiński Kraków.

DZIEŃ ŻAŁOBY W NIEMCZECH





Prezydent Hindenburg kroczy przed frontem kompanji w dniu święta żałoby. N. Y. Times

Obok: Poczty sztandarowe, w pochodzie przed parlamentem w Berlinie w dniu żałoby (21 lutego). The New York Times.

W latach powojennych wprowadzili Niemcy t. zw. „dzień żałoby narodowej“, poświęcony pamięci żołnierzy, którzy polegli w wojnie światowej. W dniu tym odbywają się we wszystkich miastach nabożeństwa żałobne i parady wojskowe. Najokazalszy przebieg mają te uroczystości w Berlinie.

Naturalnie „dzień żałoby“ jest dla Niemiec wojujących, a więc dla obozu Hugenberga i Hitlera bardzo dobrą okazją do apelowania do patrjotycznych uczuć społeczeństwa. Mówi się mu więc, że ofiary jego poszły na marne, a naród niemiecki został zaprzężony w jarzmo niewoli i pohańbienia, przypomina mu się dawną świetną przeszłość i wzywa, aby zerwał się do nowej walki, zdeptał Traktat Wersalski i przyspieszył w ten sposób nadejście lepszego jutra. W całej tej akcji odwetowej, rządzący dziś Niemcami obóz demokratyczno - socjalistyczny jest przedstawiany jako zakała Niemiec, którą należy jaknajszybciej usunąć. Nacjonaliści byliby się też już dawno z Brüningiem i jego zwolennikami uporali, gdyby nie to, że za kanclerzem stoi prezydent Hindenburg, najpewniejszy dziś fundament republiki, który nie dał się użyć za narzędzie żadnej partji, ale wytrwale kroczy drogą sprawiedliwości i bezstronności w stosunku do swoich, zaś wobec zagranicy reprezentuje czynnik ładu i dobrej woli. Za kilka tygodni odbędą się wybory nowego prezydenta.. Sędziwy marszałek staje do nich, jako kandydat obozu umiarkowanego. Pomimo swoich 83 lat nie zamierza wycofać się z życia publicznego, aby, jak twierdzi, nie powiedziano o nim, że „w ciężkiej chwili usunął się od obowiązku i odpowiedzialności“. Wypadnie mu stoczyć walkę z Hitlerem i jego satelitami. Walka ta będzie o tyle ciekawa, że nawet wśród najzagorzalszych nacjonalistów nie brak ludzi, którzy idąc do urny wyborczej zawahają się w swojem sumieniu. Ciężko im bowiem będzie głosować przeciwko Hindenburgowi, który mimo wszystko jest jeszcze ciągle żywą legendą Niemiec, legendą, w której ucieleśniła się cała bohaterska epopeja wojenna. Nie zapomną także Niemcy Hindeburgowi, że kiedy w krytycznych dniach listopada 1918 r., kiedy opuścili ich wszyscy wodzowie z cesarzem na czele, on sam jeden wytrwał n aposterunku i pozostał w kraju.

Z dziedziny nauki i wynalazków.

BRUNO WINAWER.

FRONT RUCHOMY.

Trudne podręczniki szkolne, grube, nabite faktami encyklopedje sprawiły, że wyobrażamy sobie naukę zupełnie inaczej, niż ongiś rzeźbiarze greccy. Zamiast kształtnej postaci symbolicznej widzimy osobę kanciastą, surową, która sypie prawami, formułami, tłumi wszelki sprzeciw w zarodku, nie pozwala na sąd własny i buntowników tępi okrutnie. Podręcznik, program, egzamin zamieniają „wiedzę radosną“ na jakiś glob zastygły, zbadany, wymarły.

Otóż — rzecz ciekawa: urok największy nauki dzisiejszej na tem właśnie polega, że rozwinęła front bardzo szeroko, opuściła dobrowolnie pozycje obwarowane, twierdze, forty i mocne grodziszcza i zdobywa nowe kraje, kpiąc ze starych reguł strategicznych. Nie uznajemy dziś żadnych autorytetów, podajemy w wątpliwość wszystkie prawa. Raz jeszcze pytamy, czem się tłumaczy ciążenie powszechne, dlaczego ziemia przyciąga księżyc, słońce ziemię? Mówimy o „krzywiźnie przestrzeni“. Stwierdzamy, że czas jest pojęciem, urobionem na zasadzie pewnych doświadczeń prymitywnych, które przywykliśmy uważać za prawdy niewzruszone. Nie można wierzyć filozofom na słowo, fizyka musi sama na nowo wszystko od początku przemyśleć. A zwłaszcza — zbadać.

O ruchliwości frontu może najlepiej świadczą ustawiczne zmiany na jednym tylko odcinku „atomowym“. Po kilku dziesiątkach lat wytrwałej pracy, po fenomenalnych odkryciach promieni X, pierwiastków radjoaktywnych, po odkryciu wpływu magnesu na światło, po subtelnych badaniach spektroskopowych zdawało się, że już wiemy mniej więcej, jak atom wygląda. Niels Bohr zbudował bardzo piękny model, za który dostał nagrodę Nobla. We wszystkich podręcznikach i artykułach czasopism ilustrowanych oglądać można było ten sam — dość prosty — rysunek: maleńkie ziarenko w środku i kilka punkcików, krążących naokoło. Tak właśnie miała wyglądać najmniejsza drobina materji: jądro pozytywne, a wokoło — jak planety — krążą po orbitach elektrony. Bohr, Rutherford i inni odkryli nawet, ile takich planet ma atom wodoru, ile atom helu, litu, sodu. Wytłumaczyli, czemu pewne własności chemiczne wracają stale, perjodycznie, jeżeli sobie porządnie, kolejno ułożymy pierwiastki. Wytłumaczyli, czemu wodór świecący daje takie drgania i takie tony optyczne, a nie inne, dlaczego rad się rozpada, czemu widma rentgenowskie wykazują taką prostą, zdumiewającą regularność, wyjaśnili, na czem polega „ciężar atomowy“. I zdawało się, że przynajmniej na pewien czas można będzie złożyć tornister, okopać się na pozycji, odpocząć... Nie!

Przedewszystkiem ów elektron — najmniejsza kropelka elektryczności, o której mówiliśmy w artykułach, wykładach i którą oznaczaliśmy stale jako punkcik, kulkę, kropkę, ma — jak wykazali fizycy młodsi — własności fali elektromagnetycznej, nie jest kulką i planetą. Następnie ów prosty „atom Bohra“ nie mógł sobie poradzić z nawałą coraz nowych faktów optycznych i trzeba go było wciąż uzupełniać, reformować, komplikować, aż wreszcie odmówił posłuszeństwa. Szkopuł zaś najważniejszy: głośna i wielokrotnie sprawdzona teorja Plancka żąda od atomu, żeby łykał i wypluwał energję zawsze tylko w pewnych określonych, odmierzonych dawkach. Jak to sobie wyobrazić? Badania teoretyczne zamiast jasnego obrazu dały w ostatecznym wyniku rewolucyjny pogląd genjalnego Heisenberga, że głośne prawo przyczynowości trzeba poddać krytyce, atomy mają jakgdyby „wolną wolę“, gdybyśmy znali nawet wszystkie, co do jednej przyczyny — nie obliczymy odrazu wszystkich skutków... Krótko mówiąc — nowe znaki zapytania przy ogólnie przyjętych, odwiecznych dogmatach filozoficznych!

Dawniej taka rewolucja nie miałaby następstw groźniejszych, bo cóż kogoś obchodzić może, jak tam najmniejsza drobina się prezentuje; fala czy cząsteczka, podlega determinowości, czy nie — drobiazg! Ale dziś wiemy, że cały wszechświat jest ściśle z tym drobiazgiem związany, że niektóre wyniki badań atomowych zamieniamy natychmiast na teorje astroficzne, że cały kosmos odbija się w cząsteczce.

Więc oczywiście i fizyka kosmiczna ma trudności nielada i przeżywa ciężkie chwile. Mniej więcej piętnaście lat temu pogodziliśmy się z Einsteinem i z twierdzeniem, że wszechświat jest nieograniczony, ale zamknięty. Przestrzeń wygląda tak, jak powierzchnia dużej kuli dla — przepraszam za wyrażenie — małej pluskwy. Kresu to wyraźnego nie ma, granicy oznaczyć nie można, a jednak nie ciągnie się w nieskończoność, skręca, wraca do punktu wyjścia.

I znów przypowieść o kuli i owadzie przeszła do licznych wykładów i czasopism obrazkowych. Zdawało się, że stanowi pewien etap, że przetrwa bez zmian z pół wieku. Nie!

Nastawiono potężny teleskop z Mount Wilson na odległe mgławice, zbadano najdalsze ciała niebieskie spektralnie, stwierdzono wyraźne przesunięcia pewnych linij w widmach. Nie ulega już wątpliwości — dalekie gwiazdy w szalonym pędzie odsuwają się od nas, uciekają „jak od zarazy“. Genjalny Hubble, astronom amerykański, wymierzył ściśle, że im dalej od nas taka mgławica leży, tem szybciej chce uciec — stwierdzono szybkości nieprawdopodobne: 5 tysięcy, 6 tysięcy, 15 tysięcy kilometrów na sekundę. To już zakrawa na panikę, na popłoch, na wybuch granatu. Niektórzy uczeni mówią doprawdy o „eksplozji kosmosu“! Ale kiedy eksplodował i jakim cudem mgławice nie rozbiegły się jeszcze dalej przez lat miljardy, skoro mają szybkości aż tak olbrzymie? Znów łamigówki i znaki zapytania!

I dlatego w laboratorjach i obserwatorjach wre praca. Każdy śmielszy krok naprzód stwarza nowe zagadnienia, każdy nowy fakt zdumiewający prowadzi do odkryć, jeszcze bardziej zdumiewających.

Zjawisko kosmiczne, odkryte przez Hubble'a, nabiera charakteru pięknej przenośni poetyckiej: świat wokoło nas rośnie z oszałamiającą szybkością!

ZIMA I WIOSNA NA RIWIERZE.

(Oryginalna korespondencja „Światowida").

Paryż, w lutym.

Elegancki świat paryski często opuszcza stolicę. W lecie Paryż się wyludnia, ktoby nawet chciał pozostać — wyjeżdża, bo w Paryżu jest pusto. Na wiosnę ucieka się, bo jest zbyt ludno; cudzoziemcy zalewają ulice i rażą paryżanina nazbyt swojskiemi strojami, Kodakiem i nieodłącznym Baedekerem. — W zimie nadsekwański gród odstrasza chłodem, deszczem i mgłami. Utarło się przekonanie, że tylko spokojny, zakochany w swojem mieście burżuj może cały krągły rok wysiedzieć w Paryżu. Ale dokąd jechać? I tu zaczynają się wahania, bo serce ciągnie w dwie strony. Przed oczyma wyobraźni przesuwają się pióropusze palm w słońcu, białe żagle na morzu, rozpostarte jak skrzydła motyle, karnawał nicejski z groteskową defiladą masek, zarzucający miasto girlandami serpentynek i garściami różnobarwnych confetti!

Te obrazy inna wizja zaciera. Puszysty, iskrami migocący śnieg, cisza polarna białych pól, śnieżna bajka księżycowych nocy, narty, bobsleje i łyżwy...

Co wybrać? Od dwóch tygodni odpowiedź jest łatwa. Nie wybierać, ale brać jedno i drugie. Mieć jednocześnie południe i północ. Nasz wiek, który w modzie połączył kontrasty, w dalszym ciągu kontrasty jednoczy, sprzęga z sobą. Mamy obecnie na Riwierze lato i śnieżną zimę. Można w przeciągu jednego dnia zrywać pomarańcze i brnąć w śniegu po kostki.

Proszę nie myśleć, że to żart. Zresztą najlepiej przekonać się o tem naocznie. Wsiądźmy zatem w Nicei do rodzinnego auto-caru, czekającego nas przed pięknym gmachem, zwanym Palais de la Mediterranée. Przed nami roztacza się lazur morza, ulice zalane potokami słońca, widzimy wzdłuż ulic barwne stragany kwiaciarskie, piętrzą się stosy goździków, róż, fiołków... — Fleurissez-vous, Mesdames — wołają kwieciarki.

Zamknijmy oczy. Autocar gdzieś nas ponosi, spina się po jakiejś stromo biegnącej drodze. Mróz zaczyna nam lekko szczypać policzki, otwieramy oczy. — Jak biało! Dokoła, jak okiem sięgnąć, śniegiem pokryte wzgórza i pola. Śnieg pokrywa domy, grubą warstwą położył się na świerkach, pokrył nagość drzew. Jesteśmy w Beuil, nad Niceą, na 1.600 m. wysokości.

Beuil, będzie odtąd centrum sportów zimowych na Riwierze i pozwoli osobom, spędzającym zimę na Côte d'Azur, używać nart, łyżew, saneczek, bob'ów, pod kierunkiem słynnego sportowca norweskiego E. Petersena.

Beuil jest przygotowane na dużą frekwencję turystyczną, a ostatnio otwarty Hotel du Mont Monnier, gromadzi liczną publiczność międzynarodową. Hotel ten jest własnością pewnego miljardera amerykańskiego, w którego posiadaniu znajdują się liczne hotele i kasyna Riwiery. To też ten król lazurowego wybrzeża nie poskąpił dolarów, żeby nowy hotel odpowiadał wszelkim wymaganiom najbardziej wybrednej publiczności. — Nic więc dziwnego, że w tym hotelu spotyka się sensacyjne, najnowsze stroje, jakiemi są balowe pyjamy.

Pyjama robi rewolucję w królestwie mody. Rozpocząwszy skromnie swą karjerę, jako ubranie domowe w porannych godzinach, używana była przez niektóre panie jako nocna koszulka. Potem przeszła na nadmorskie plaże i na tym terenie zapanowała wszechwładnie.

Na Riwierze mamy już pyjamy, noszone zamiast „tailleur'ów", co rozpowszechni się u nas na wiosnę. Ostatnią zaś nowością w tej dziedzinie jest balowy krój, dekolt i układające się jak spódnica, spodnie.

Pamiętamy wszyscy porażkę, poniesioną przez lansowaną w swoim czasie w Paryżu „jupe-culotte". Powróciła ona w zmienionej nieco postaci i zdobyła sobie rosnące wciąż powodzenie. Odpowiada ona duchowi czasu i sportowym aspiracjom kobiety.

Pyjama ma wielką przyszłość przed sobą, posądzają ją nawet o wojownicze zamiary, ma podobno wyrugować suknię. Jeżeli to się stanie, to tylko na czas jakiś — nie omieszkajmy dodać — bo okrzyczana ze swej płochości moda, wciąż jednak powraca do dawnych bogów!

Na razie spotykamy w Beuil narciarskie kostjumy o męskim kroju, a na całem południowem wybrzeżu pyjamy spacerowe i pyjamy balowe w kasynie. Obok spacerowych pyjam spotykać będziemy sukienki wełniane, ozdobione małą peleryneczką „cape", o bardzo żywej barwie, nadająca kobiecy wdzięk tualecie. Jest to zupełnie nowa kombinacja linij i kolorów.







Pyjama balowa, z błękitnego, o turkusowym odcieniu jedwabiu, przytrzymana szeleczkami z czarnego atłasu, tworzącemi węzeł na plecach. Szerokie spodnie robią wrażenie gładkiej spódnicy. Moda wiosenna przynosi proste linje spódnic, kładąc kres pufom i przesadnym upięciom.

Pyjama z czarnego crepe de Chine, przybrana u góry szeroką, czarną koronką. Stan ozdobiony jest poprzecznie idącemi „nervure'ami". Szerokie spodnie, w miękkich fałdach spadają do ziemi i zapięte są na guziki po bokach.

Na lewo;

Kostjum narciarski. Spodnie są czarne z nieprzemakalnego wełnianego materjału. Przy nich bardzo efektownie wygląda szafirowa, skórzana kurtka. Bluzka z grubego, szafirowego trykotu w różnokolorowe prążki, ozdobiona jest szalikiem wiążącym się na boku. Czapeczka z tego samego grubego trykotu co bluzka. Także mankiety stanowią ozdobę czarnych rękawiczek.

Na prawo:

Suknia spacerowa, znamienna dla mody wiosennej. Jest ona z lekkiej, czarnej wełny, nieco rozszerzona u dołu i zapięta na rząd guzików. Szeroki, lakierowany pasek wyraża tendencję ostatniej mody skracania stanu, zapina się on na klamrę. Zarzucona na ramiona „cape" z mocno-różowego wełnianego materjału.



POLACY NOWOJORSCY W FESTIVALU MIĘDZYNARODOWYM.



Grupa polska VII-go Gniazda „Sokoła“ Polskiego w N. Jorku, która wystąpiła ze śpiewami i tańcami na Międzynarod. Festivalu w The Guild Theatre w Nowym Jorku.



Obok: Chór grupy szwedzkiej.



Obok na lewo: Okładka o motywach polskich programu Festivalu Międzynarodowego w N. Jorku. W Festivalu tym wystepowały grupy, reprezentujące 22 narodowości. Program przedstawiał się zewnętrznie bardzo wytwornie, a treść jego (o 48-miu stronach), ozdobiona ilustracjami prawie wszystkich grup w Festivalu udział biorących, dawała ciekawy i pouczający przegląd najcharakterystyczniejszych tańców, śpiewów i obyczajów ludowych. Polsce poświęcono w tym programie stosunkowo najwięcej miejsca. Szczegółowo opisane zostały nasze dożynki, jakoteż nasze tańce: polonez, mazur, krakowiak i oberek.



Taneczna grupa norweska.

Stany Zjednoczone dzisiejsze, zunifikowane i zmechanizowane, silną odczuwają tęsknotę za różnobarwnością życia innych kontynentów.

To też mnożą się tam instytucje, które za cel sobie kładą poznawanie wartości kulturalnych innych narodów świata, z nietajoną na dnie tych zabiegów nadzieją, że bliższy kontakt kulturalny, t. zw. rdzennej Ameryki z imigrantami świeższej daty przyczyni się do wzbogacenia życia duchowego Ameryki, a nawet do uformowania może z czasem własnego oblicza amerykańskiego w dziedzinie sztuki i literatury.

Do takich instytucyj należy „Foreign Language Information Service“ w N. Yorku, z którego inicjatywy uformowany „Folk Festival Council“ (Komitet Festivalów ludowych), pozostający pod przewodnictwem znanego przyjaciela Polski, redaktora pisma „The New York Times“, Dra J. H. Finley'a, zorganizował na przełomie stycznia i lutego b. r. w The Guild Theatre w Nowym Jorku dwie wspaniałe imprezy ludowe przy współudziale przedstawicieli 22 narodowości.

Festivalom tym, na które złożyły się popisy danych narodowości w tańcach i śpiewach narodowych, dodawały uroku barwne stroje ludowe. W charakterze reprezentacji polskiej wystąpiło Koło polskie, zgrupowane w 7-mem Gnieździe Sokoła Polskiego w N. Yorku. Program polski składał się: z „Dożynek“, z „Krakowiaka“, odśpiewanego chóralnie, z tańców (krakowiak, mazur i oberek) i z „Poloneza“ z „Halki“, odegranego przez orkiestrę „włościańską“. Poważne zasługi koło zorganizowania występu polskiego położył p. Fr. Rachwał. Reżyserem był dr T. Raczyński, dyrygentem orkiestry p. F. Gregorcewicz, a udział wzięły panie: Jadwiga Bagińska, J. Czaja-Bagińska, H. Bieńkowska, St. Chmurzyńska, B. Chwalkowska, J. Cwalina, Fl. Drelenkiewicz, I. Galińska, E. Gawkowska, St. Gralewska, H. Jabłońska, H. Kapuścińska, Z. Kierzkowska, H. Kotarska, J. Kowalik, St. Lipińska, J. Prażmowska, O. Prażmowska, I. Szaniawska, A. Urbanowicz, M. Urbanowicz, E. Ziemborak, jakoteż panowie: A. Bolesławski, Fr. Czajkowski, R. Galiński, J. Gapiński, E. Gutowski, T. Januszkiewicz, K. Kałucki, St. Kamiński, Fr. Kierzkowski, Cz. Kinald, Fr. Kinald, E. Knorowski, K. Konopka, H. Miziumski, J. Nitecki, W. Obara, St. Portapowicz, St. Sabin, R. Sowiński i Wł. Stankiewicz.

Występ grupy polskiej spotkał się z szczególnem wyróżnieniem tak ze strony prasy, jak i publiczności.

Ta sama instytucja amerykańska organizuje również narodowościowe wystawy sztuki ludowej, które tutaj ilustrujemy kilkoma fotografjami kiosków.



Kiosk czechosłowacki.



Kiosk polski.



Kiosk jugosłowiański.

Z CAŁEJ POLSKI.



Wycieczka Wilnian w Krakowie. Onegdaj bawiła w Krakowie wycieczka szkoły podoficerskiej 3-go pułku artylerji ciężkiej z Wilna. Na zdjęciu uczestnicy wycieczki na dachu Pałacu Prasy w Krakowie. Na horyzoncie wieża Marjacka.

Poniżej: **Otwarcie Domu Akademickiego w Wilnie.** — Nastąpiło ono dnia 21 lutego. Uroczystość tę zaszczycił swoją obecnością marszałek Senatu p. Raczkiewicz Zdjęcie nasze przedstawia widok mensy akademickiej w czasie obiadu.



Koło Szczawnicy zabito dzika-olbrzyma. W tych dniach w lasach szlachtowskich na pograniczu czechosłowackiem odbyło się polowanie na dzika, który od dłuższego czasu grasował w tych okolicach, wyrządzając ogromne szkody. Na polowaniu tem dzik padł od kul p. Józefa Modlicha i Szlachtowskiego. Ważył on około dwóch centnarów. Na zdjęciu myśliwi z upolowanym dzikiem w otoczeniu ludności wiejskiej. *Fot. Hilary Opatowski.*





Nowy poseł afganistański w Polsce. W tych dniach złożył na Zamku swe listy uwierzytelniające nowy poseł afganistański Szach Wali, poczem udał się on na grób Nieznanego Żołnierza, na plac Marszałka Piłsudskiego. Zdjęcie przedstawia Szacha Wali, kroczącego przed frontem kompanji honorowej. *Ag. Fot. „Światowida".*



Z Chełma Lubelskiego. W tych dniach Koło Rodziny Wojskowej urządziło w Chełmie Lubelskim wystawę ręcznych robót kobiecych, która cieszyła się wielkiem powodzeniem. Wystawę tę zorganizował ruchliwy zarząd „Sekcji Pracy", którego przewodniczącą jest p. Irena Dąbkowa. — Zdjęcie przedstawia fragment wystawy.

W kole: **Nowy komisarz Okr. Zw. Kas Chorych w Warszawie.** — Został nim p. Medard Downarowicz, który ostatnio pełnił obowiązki komisarza Kasy Chorych w Radomiu.



Całości bywa wspaniałym szczytem,
Gdy ku wierzchołkom we mgle spowityin
Padąża sobie zacny turysta,
Który dziś właśnie przyrzekł grać wista!...
U uczonego myśli bujają,
O realnościach nie pamiętają, —
Gdzie twierdzić trzeba, że coś jest tak, —
„**Trzy! cztery!**“ mówi — a więc na wspak!...
Lub kiedy trzeba ogień **raz-trzy-cić,**
Miast zapałkami — uczony świecić,
Wodę niebacznie w to miejsce łeje —
Ale miast... ciepła — chłód ciągle wieje!...
Czasami woła do siebie sługi,
By wyrzuciły zbędny **wspak-drugi** —
Tymczasem... złoty zegarek daje,
A **dwa-wspak** w szafie, jak był, zostaje!...
Znów późną nocą wraca zmęczony —
Laskę miast siebie kładzie do... żony,
A sam zaś w kącie niby spoczywa,
Głową na prawo i lewo kiwa!...
Albo gdy wielką też senność czuje,
Już go Morfeusz w objęcia chwyta —
Żonę swą gasi — lampę całuje,
Odrazu chrapie — a żona... zgrzyta!!...

Za rozwiązanie powyższej szarady **redakcja** „Swiatowida“ przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 40, druga zł. 25, trzecia zł. 15.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 12-go marca 1932 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 7

Okres zabaw umyka, idzie czas śledzika.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 7 nadesłali:

J. Zelkin, Łomża; J. Pająk, Nowy Targ; G. Gerhardt, Kraków; J. Ohly, Kraków; R. Radmacher, Kraków; J. Jonasik, Łask; H. Piotrowska, Żywiec; K. Korzeniowski, Żywiec; Orlacy, Zawiercie; Z. Boulange, Baczków; H. Czubernatówna, Nowy Targ; Eug. Kowalski, Zakopane; E. Mikucka, Krzeszowice; P. Karszo-Chmielewski, Warszawa; G. Złotnicka, Włocławek; J. Ruta, Wieluń; M. Lisonówna, Grabie; Moliccy, Zbąszyń; A. Urbankiewicz, Pabjanice; J. Kowalczykówna, Łódź; Ir. Giersztówna, Gniezno; K. Pająk, Targanica; Ł. Filipiak, Żywiec; kpt. J. Kapion, Kraków; St. Krzyżanowski, Bielsko; Wł. Sowa, Dąbrowa Górnicza; R. Dergiman, Wilno; L. Trepińska, Katowice; Sam. Kupfer, Bielsko; A. Alkoff, Warszawa; J. Dyńska, Dubno; M. Sipowiczówna, Łuniniec; Z. Chortyńska, Lwów; Ant. Grabowska, Lwów; M. Żukiewicz, Ostrowiec; Miecz. Szczygieł, Żywiec; J. Laskiewicz, Poznań; M. Taras, Stryj; J. Maćkowiak, Krzywin; T. Sobolewski, Września; Cz. Giersztówna, Gniezno; Z. Szmandzianka, Gniezno; J. Przybyłowska, Kraków; W. Ossowiczowa, Piastów; J. Pągowski, Kraków; M. Moszyńska, Lwów; M. Luxemburgowa, Płock; K. Słysz, Kraków; Wład. Pochmarski, Lwów; Ir. Cuevasówna, Łęczyca; M. Baraniecki, Koło; W. Grodzki, Łęczyca; Ant. Scholzówna, Kraków; H. Smoczkiewicz, Kraków; A. Świda, Warszawa; Zb. Groszek, Toruń; S. Wachtel, Tarnów; R. Osowska, Bydgoszcz; „Rolly“, Grudziądz; T. Kretkowski, Warszawa; St Kowalski, Pińczów; W. Olexówna, Warszawa; M. Jasiewiczowa, Lwów; M. Pecher, Nadwórna; M. Kernówna, Nadwórna; K. Fuchs, Zborów; H. Celanowicz, Łódź; Dz. Frieskowa, Ostrów; J. Papiż, Ostrów; Wł. Iwaszek, Trzemeszno; T. Larek Śmigiel; H. Jarecka, Kalisz; J. Miodowiczówna, Gniezno; Miecz. Pietrasz, Wilno; T. Hauptmann, Kraków; „Władek z Wadowic“; J. Jakubiec, Jarosław; J. Lewenstein, Warszawa; A. Komasówna, Łódź; A. Turowicz, Płock; St. i Kr., Stanisławów; St. Sekułowiczowa, N. Sącz; J. Kalasiewiczówna, Kraków; H. Łakotówna, Zawiercie; Ziutka z Tadzikiem, Podgórze; Z. Lewensteinowa, Łódź; Bron. Godziszewska, Mołodeczno; por. St. Godziszewski, Maładeczno; St. Bancerż Jarosław; H. Drzewiecka, Zakopane; A. Kusiak, Kraków; Cz. Kalitowski, Kraków; **Zbysiu Żebracki, Kraków (zł. 40.—)**; „Allach“, Sosnowiec; W. Kunz, Lwów; H. Zasztowtowa, Katowice; K. Uljańska, Częstochowa; B. Czech, Warszawa; L. Gasiorowiczowa, Łęczyca; J. Brzycka, Haienów; T. Hubert, Żabno; J. Wojtaszek, Warszawa; Ant. Szuksta, Warszawa; A. Jakubowska, Piastów; M. Drzewińska, Dubiecko; H. Zadarnowski, Dubno; St. Jurecki, Kraków; Z. Tietz, Warszawa; Stan. Mikowska, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; Daniusia Bartnicka, Pabjanice; E. Gałczyńska, Włocławek; W. Machlejdówna, Warszawa; J. Lewenstein, Warszawa; Kaz. Ołpiński, Warszawa; I. Grabowska, Kramarzewo; H. Frankowska, Bitków; M. Jouganówna, Stryj; J Reiter, Zamość; Kuba Buzin, Łodź; Z. Zieliński, Wieluń; Kaz. Orlicz-Ilnicki, Buczacz; J. Jaworzyński, Kraków; M. Świerczykówna, Poznań; J. Sierpniak, Inowrocław; J. Ziembo, Poznań; J. Krzyżaniak, Szamotuły; M. Dudrewiczówna, Bydgoszcz; Wł. Gajowa, Poznań; J. Bielesz, Kraków; J. Kwiekowa, Dobrzelin; H. Wolski, Szczebrzeszyn; J. Huzówna, Niewachlów; Eug. Wachowiczówna, Niwiski; I. Antonowicz, Równe; J. Głuchowska, Pińczów; J. Klimaszewska, Stary Sącz; E. Brzozowska, Wilno; Bron. Ramułtowa, Jeżów; Wład. Boner, Lwów; W. Parantoni, Lwów; K. Puchowicz, Warszawa; J. Makosikówna, Leżajsk; F. Langerówna, Nowy Targ; Z. Żmigrodzka, Częstochowa; J. Tippowa, Rawicz; T. Berner, Bielsko; T. Zubek, Kraków; Ł. Zatorska, Warszawa; dr. D. Lantner, Tarnów; Zbigniew i Witold Różańscy, Krosno; St. Rybarczyk, Czarnków; H. Hajnowa, Poznań; W. Pędzimąż, Zakopane; Wład. Góral, Kraków; J. Razorowska, Bydgoszcz; Kryst. Więckowska, Poznań; W. Karwacki, Karków; H. Turowicz, Kraków; A. I. Ordza, Kraków; A. Skrzywan, Warszawa; A. Hauschildowa, Nowy Targ; H. PaProcki, Warzsawa; L. Świerczyński, Lwów; Ir. Jegorow, Częstochowa; „Ceśka Cz.“, Kraków; „Oficer oświatowy“, Kraków; Ed. Lenartowski, Poznań; E. Szumlakowska, Jarosław; Stan. Pretkielowa, Warszawa; Eugł Gorodecki, Częstochowa; J. Łukomska, Glinojeck; Eugł Paczkowska, Tomaszów; L. Foltyn, Toruń; Ant. Bittnerowa, Jaworzno; W. Jankszówna, Ostrowo; H. Sobkiewiczówna, Poznań; L. Zawadzki, Lwów; Z. Łabęcki, Tarnowskie Góry; Z. Putniarzowa, Bielsko; Stan. Ganciarek, Zator; F. Krajowska-Kukiel, Warszawa; „Władek z Jaworzna“; Ina Wisławska, Bydgoszcz; Stan. Leszczyński, Sosnowiec; Z. Wieczorek, Tarnobrzeg; E. Rosenberżanka, Brzeziny; Franc. Gierałt, Zamość; Stan. Karolewicz, Warszawa; **Marja Tyszkiewiczówna, Zakopane (zł. 25.—)**; Tad. Bromirski, Kobierzyn; Bron. Bromirska, Kobierzyn; Franc. Gawryś, Kraków; Jan. Sidor, Kraków; Wł. Gąsienica, Zakopane; T. Sopiński, Łódź; „Dzikuska“; Wład. Szymańska, Ostrów; Mich. Wysocka, Warszawa, A. Lorenzówna, Toruń; J. Majer, Toruń; J. Dobrowolska, Toruń; M. Poćwiardowska, Toruń; J. Chachulski, Jaworzno; A. Szmytowa, Poznań; M. Kubiczowa, Poznań; L. Kostrzewska, Poznań; A. Pertkiewiczówna, Częstochowa; L. Moczyński, Wilno; Mich. Schmidt, Lwów; Z. Wojtkielewiczowa, Tarnopol; Kaz. Jurkiewicz, Śniatyn; J. Kopecka, Toruń; St. Rakowski, Poznań; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; ks. L. Klementowski, Tarnopol; por. Bron. Bubnicki, Kraków; Wł. Milianowicz, Jarosław; A. Kostyrka, Brześć; T. Trąbczyński, Łódź; Z. Szmidt, Łódź; L. Domański, Kowal; W. Siuta, Kałomyja; M. Rundowa, Bielsko; H. Friedówna, Lwów; M. Lambachowa, Lublin; Z. Pieracki, Wilno; „Maryśka z Pohulanki“; L. Silberstein, Kraków; Br. Sedlaczek, Kraków; Kaz. Wzorek, Stryj; L. Siuda, Poznań; Zdz. Fischbach, Września; Cz. Kozłowski, Warszawa; W. Rutkowski, Katowice; M. Waksmundzka, Jasło; Z Żukowa, Jędrzejów; pchor. P. Ładarew, Bydgoszcz; M. Wojtynowska, Bydgoszcz; M. Gorzecka, Kraków; por. Peszkowski, Brześć; kpt. J. Sosenko, Dąbrowa; J. Partyka, Wilno; E. Medvey, Krzeszowice; S. Klupsz, Czempień; I. Bieś, Zakopane; Edw. Dąbkowski, Zambrów; J. Rogowski, Warszawa; Jurko z Królewszczyzny; Halka z Królewszczyzny; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Z. Ajszpurowa, Królewszczyzna; J. Ajszpur, Królewszczyzna; Br. Stalkowski, Gostyń; M. Pańczykowa, Łódź; Sz. Rybczyk, Rzeszów; H. Hilgier, Toruń; M. Maciejewska, Królewska Huta; W. Komorowska, Inowrocław; E. Unverricht, Pawłów; „Irena“, Lwów; J. Siutówna, Kraków; J. Kalicki, Częstochowa; W. Raczyńska, Kraków; plut. M. Szymko, Podbrodzie; por. T. Dadej, Warszawa. A. Zimmermann, Stryj; A. Kolasińska, Tarnobrzeg; „Antek Cwaniak“, Kielce; J. Vogtman, Warszawa; E. Walloch, Toruń; Piekosiński, Prokocim; A. Klohes, Kraków; Miecz Bilik, Lwów; L. Pogoda, Jaworzno; Zabłocka, Łask; St. Jezierski, Grodno; Kaz. Hanus, Nadwórna; A. Kamionka, Kraków; A. Nowicka, Kraków; St. Zawadzki, Warszawa; J. Wójtowicz, Kościelisko; T. Sobecki, Poznań; T. Szancer, Przemyśl; J. Tyblewska, Poznań; W. Tyblewski, Poznań; Ir. Wyderkowska, Poznań; Tadeusz Neumann, Drohobycz; Jack Heider, Drohobycz; Otto Wieczorek, Rybnik; A. Nadolska, Rydułtowy; **Kasyno ofic. 23 p. ul., Podbrodzie (zł. 15.—)**; L. Brouner, Kraków; „Azdroła“, Kraków; Wł. Uzar, Kraków; „Alila“, Warszawa; K. Nagler, Bydgoszcz; „Fred“; Z. Harnosówna, Pabjanice; B. Bieńkowski, Lublin; Tolek S., Warszawa; M. Ciepfelewska, Pruszków; J. Maziarz, Ozorków; B. Kryjak, Lwów; Z. Niemcówna, Łódź; C. Rączkowska. Łódź; K Haluch, Lwow; St. Kociałkowska, Poznań; R. i K., Kościan; Popielewski, Bydgoszcz; H. Priesentówna, Czerwionka; M. Zapiór, Kraków; R. Fojcikówna, Biertułtowy; St. Mayerberg, Kraków;



Żona do męża; Jak śmiesz nędzniku, ubliżać słabej, bezbronnej kobiecie?!

Dramaty filmowe muszą mieć „happy end“ (wesołe zakończenie).



— Co to jest „happy end“?
— „Happy end“ będzie, jeżeli po kinie pójdziemy do kawiarni.

wna, Kraków; B. Kociuba, Kraków; J. Waniek, Kraków; J. Kapsowa, Wołożyn; por. Edward Kreyzer, Warszawa; J. Strauss, Wilno; „W. H. Dubno“; E. Leonowiczówna, Berezno; K. Kubiakówna, Ostrów; A. Blaschkowa, Złoczów; H. Wasielewski, Ostrów; Zb. Block, Poznań; J. Zielenkiewicz, Kraków; J. Drewnicka, Lwów; M. Lewicka, Wojniłów; J. Chęcińska, Lwów.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Zbysia Żebrackiego, Kraków (zł. 40.—), Marję Tyszkiewiczową, Zakopane (zł. 25.—) i Kasyno ofic. 23 p. ul., Podbrodzie (zł. 15‘—).

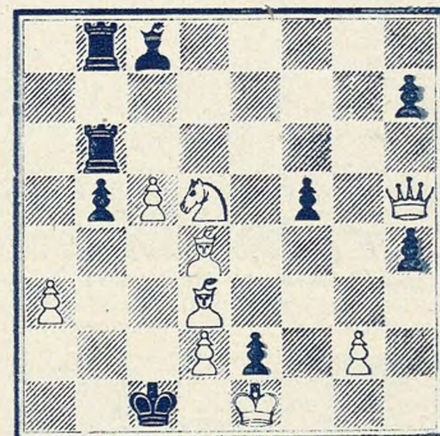
Redakcja „Światowida“ wyżej wymienionym prześle gotówkę niebawem.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

G. Kaługin („Szachin Listok“ 1931).

Czarne: Kc1, Wb6 b8, Gc8, piony: b5, e2 f5, h7, h4 (9).



Białe: Ke1, Hh5, Gd3 d4, Sd5, piony: a3, c5, d2, g2 (9).
3-chodówka. **9 + 9 + 18.**
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki G. Kaługina: 1. H—e8 (grozi H—e5).

I. 1... W—e6 2. S—b4 i 3×;
II. 1... G—e6 2. S—f4 i 3×;
III. 1... b4 2. H—a4 i 3×.

PARTJA

Białe: **Opoczewski** Czarne: **Hromadka**

grana w turnieju w Koszycach z końcem u. r.

Obrona holenderska.

1. d4 f5	15. K—d2 b5 **(4)**
2. e4 f×e4	16. h4 K—d6
3. S—c3 S—f6	17. S—f4 Wa—f8
4. G—g5 S—c6	18. K—e3 W—f7 **(5)**
5. G—b5 **(1)** d5? **(2)**	19. a4! Wh—f8 **(6)**
6. G×f6 e×f6	20. d5! **(7)** G×d5
7. H—h5+ g6	21. a×b5 a×b5
8. H×d5 G—b4	22. Wh—d1 c6
9. H—c4 **(3)** G×c3+	23. W—a6 K—e5 **(8)**
10. b×c3 G—d7	24. g4? **(9)** Wf—e8 **(10)**
11. Sg—e2 a6	25. W×d5+! c×d5
12. G×c6 G×c6	26. S—d3+ e×d3
13. H—e6+ H—e7	27. f4 **mat.**
14. H×e7+ K×e7	

UWAGI:

(1) Nowość teoretyczna. Dotychczas grywano w tem położeniu: 5. d5 S—ae5 6. H—d4 S—f7 7. G×f6 e×f6 8. S×e4 albo też w stylu gambitowym: 5. f3 e×f3 6. S×f3. Czarne mogą zresztą skutecznie odrzucić gambit 5... d5! (zam. e×f3).

(2) To posunięcie jest błędnem, taksamo, jakby w 4 posunięciu.

(3) Także 9. G×c6 b×c6 10. H×c6+ G—d7 11. H—c4 mogło nastąpić, albo też 11. H×e4+ K—f7 12. Sg—e2 G×c3+ 13. b×c3 Wh—e8 14. H—d3 H—e7.

(4) Czarne wyszły z otwarcia dość obronną ręką.

(5) Manewr zupełnie niezrozumiały. Jest zagadkowem, co zamierzają Czarne na linji f.

(6) Po 19... b×a4 20. c4 przewaga Białych byłaby widoczną. W tej pozycji Białe nie mogłyby grać 20. d5?; wprawdzie G×d5? okozałoby się błędnem po 21. Wa—d1 c6 22. c4, lecz 20... Wh—e8 obalało poprawność 20. d5.

(7) Początek pięknej kombinacji, ukoronowanej matem.

(8) W tej pozycji już niema wystarczającej obrony. Gdyby 23... K—c5, to 24. W×d5+ c×d5 25. S—e6+ K—c4 26. W—c6 mat.

(9) Jeszcze precyzyjniejszem było: 24. W×d5+! c×d5 25. g4! bez możliwości obrony od mata.

(10) Przedłuyżłoby znacznie partję 24... W—d7 25. W×d5+ W×d5 26. W×c6 W—e8 27. S×d5 K+d5 28. W×f6 W—e7 z końcówką przegraną dla Czarnych.



1



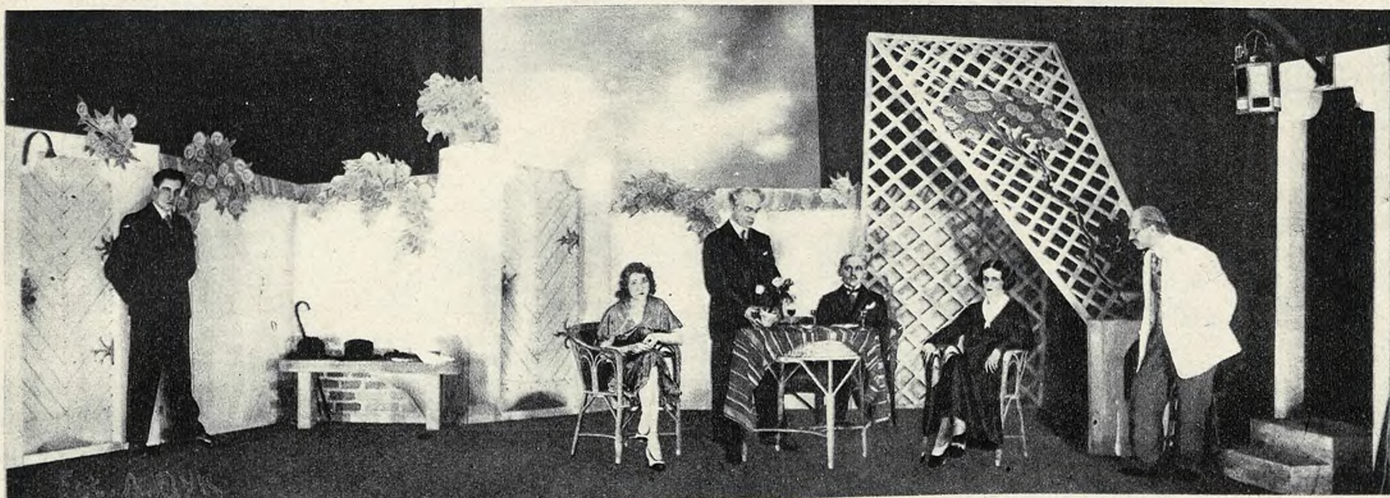
ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 10 *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z dnia 5 marca 1932 r.*

TEATR POLSKI IM. J. SŁOWACKIEGO NA WOŁYNIU.

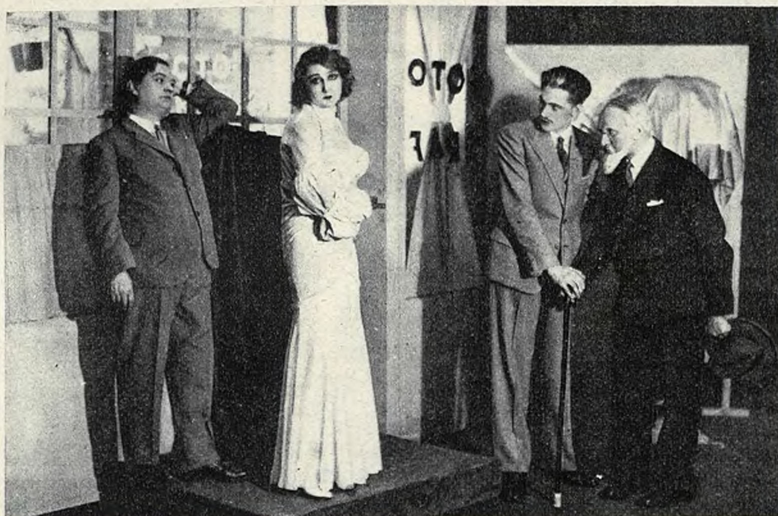




Dyrektor Teatru Polskiego na Wołyniu, p. Aleksander Rodziewicz.



Scena ze sztuki Szaniawskiego „Adwokat i róże". — Od lewej pp.: Przybysz, Bąkowska, Kochanowicz, Sroczyński, Łabuńska i Purzycki.
Na lewo:
P. Jadwiga Okońska, wybitna artystka Teatru Polskiego na Wołyniu.
Poniżej:
Scena z „Powrotu do grzechu" Kiedrzyńskiego. Stoją od lewej: Zoner, Bąkowska, Przybysz i Purzycki.



Wszystkie zdjęcia Fot. A. B.

Podstawą znaczenia elementu polskiego na Wołyniu były od wieków wpływy kulturalne i cywilizacyjne, które w pewnym momencie uczyniły z Wołynia ośrodek ruchu kulturalnego na olbrzymich połaciach ziemi kresowej. Dość wspomnieć, promieniowanie takiej historycznej uczelni, jak Liceum Krzemienieckie, gdzie czerpała wiedzę młodzież kresowa, która wyrosła później na najgorętszych patrjotów polskich. W okresie zaborczym wpływy polskie cofnęły się z tej połaci ziemi kresowej, a jedynemi twierdzami kultury naszej były parafje i dwory. Język polski zostaje z miast i miasteczek wyparty na rzecz języka rosyjskiego.

Przyszedł jednak moment, w którym zajaśniał nad Rzeczpospolitą świt wolności. Społeczeństwo w rewindykowanych ziemiach kresowych jęło się wielkiej pracy kulturalno-oświatowej. Powstają piękne placówki Polskiej Macierzy Szkolnej, których działalność dąży do budzenia i wzmacniania drogą oświaty polskości na tych ziemiach, powstaje z czasem i druga ważna placówka wychowawcza, stały Polski Teatr, którego jednym z naczelnych zadań jest zaznajamianie innych narodowości zamieszkujących Wołyń, z podstawami i objawami naszej kultury i propaganda żywego słowa polskiego w najszerszych masach.

Historja Teatru Polskiego na Wołyniu jest krótka, lecz piękna. Pierwsze próby założenia tej placówki miały miejsce jeszcze w roku 1924 i były udatne, choć napotykały na bardzo liczne trudności natury technicznej i finansowej. To samo da się powiedzieć i o sezonach teatralnych w latach 1925—1926 i 1930—1931. Pomimo ciernistej drogi, po jakiej musiały kroczyć zespoły w latach ubiegłych, idea jednak stałej sceny polskiej gruntowała się z roku na rok coraz silniej, aż zatriumfowała w obecnym sezonie 1931—1932.

Sezon ostatni rozpoczęto pod gwiazdą szczęśliwą z dużym zasobem doświadczeń, zaczerpniętych z lat ubiegłych. Przedewszystkiem samemu teatrowi nadano społeczne formy organizacyjne. Otóż przed sezonem zawiązuje się Towarzystwo Teatru Polskiego, wskład którego wchodzą wybitne jednostki z pośród miejscowego społeczeństwa polskiego, które wzięły na swe barki sprawy artystyczne, finansowe i gospodarcze teatru. T-wo to angażuje na dyrektora artystycznego teatru, ideowego i wybitnie zdolnego artystę Teatru Narodowego w Warszawie p. Aleksandra Rodziewicza, a na dyrektora administracyjnego szczerze oddanego sprawie p. Marjana Mellera.

Dyrekcja teatru przez dobór członków zespołu i repertuaru zapewnia teatrowi powodzenie, popularność i daleko idącą sympatję społeczeństwa. W skład zespołu wchodzą siły dobre, angażowane z teatrów warszawskich, wileńskich i „Reduty", a m. panie: Jadwiga Okońska, Elżbieta Łabuńska, Zofja Sławińska, (która w bieżącym sezonie obchodzić będzie w Łucku 25-lecie swej pracy scenicznej), Marja Wojdalińska, Jadwiga Butkiewiczówna, Janina Bąkowska i Marja Leśniewska: panowie: dyr. Aleksander Rodziewicz, Mieczysław Zoner (reżyser), Stanisław Purzycki, Karol Leszczyński, Klemens Przybysz, Kazimierz Sroczyński i Jan Niedzielski. Część dekoracyjna spoczywa w rękach znanych artystów malarzy pp. Jadwigi Przeradzkiej i Aleksandra Jędrzejewskiego.

Dorobek pracy teatru polskiego na Wołyniu w b. sezonie jest duży. Choć sezon ten rozpoczął się 24 października ub. r., wystawiono już 9 sztuk, a m. „Człowiek z budki suflera" — T. Rittnera, która poszła na pierwszy ogień, wesołą komedję „Roxy" — Conners'a, cieszącą się niebywałem powodzeniem, „Moralność p. Dulskiej" — Zapolskiej z gościnnym występem p. W. Siemaszkowej, „Śpiewaka własnej niedoli" — O. Dymowa. „Jedynaczkę króla czekolady" — P. Gavault'a, „Adwokat i róże" — Szaniawskiego z gościnnym występem artysty teatrów warszawskich p. J. Kochanowicza, „Powrót do grzechu" — Kiedrzyńskiego. „Dzień jego powrotu" — Z. Nałkowskiej, na premjerze tej sztuki obecna była w Łucku autorka i „Biedna jak mysz kościelna" — Fodora.

W obecnym sezonie (t. j. od 24 października z. r.) odbyło się już ogółem 65 przedstawień w Łucku w i innych miastach województwa, dokąd teatr perjodycznie wyjeżdża na gościnne występy. Teatr Polski na Wołyniu promieniuje też i na Polesie, goszcząc dotychczas trzy razy w Brześciu, a dwa razy w Pińsku. Podróże swe zespół odbywa własnym autobusem: dotychczas przejechano nim 6.200 km., a 1.000 km. pociągami. Cyfry te dowodzą wielkiej ideowej pracy tak dyrekcji, jak i zespołu. Budżet teatru wynosi do 15 tys. złotych miesięcznie. Na dochód składają się wpływy z przedstawień (około 10.000 złotych) i przychód z kin wołyńskich, które dobrowolnie opodatkowały bilety po 10 gr. na rzecz T-wa Teatru Polskiego.

W obecnym czasie kryzysowym trudno mówić o samowystarczalności teatru. I Teatr Polski na Wołyniu pomimo b. poważnej procentowo frekwencji publiczności na przedstawieniach, może wyjść z dużym deficytem, o ile miarodajne czynniki nie przyjdą z rychłą pomocą tej najdalej wysuniętej na rubieżach Rzeczypospolitej, tak ważnej placówce polskiej.

Jerzy Przyłuski (Łuck).

MALCOLM CAMPBELL BIJE NOWY REKORD ŚWIATOWY.



Znany kierowca angielski Sir Malcolm Campbell ustanowił w tych dniach na plaży Daytona w Kalifornji nowy rekord światowy w jeździe automobilowej, rozwijając szybkość przeciętną 408 km na godzinę. Zdjęcie przedstawia Malcolma, witanego owacyjnie przez tłumy po skończonej jeździe. R. Sennecke.